WTOREK 4 III 1980 Nr 27 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Z „WODNIKIEM" NAD SOLINĘ I DO... AFRYKI

RZESZÓW (HSI). Na wiosnę br. Harcerski Klub Żeglarski „Wodnik" z Rzeszowa będzie obchodził dziesięciolecie swego istnienia. Przez tych dziesięć lat wielu harcerzy zdobyło wodniackie uprawnienia i kolejne stopnie wtajemniczenia: żeglarza, sternika jachtowego, sternika morskiego. Pływali po morzach i oceanach. Uczestniczyli m. in. w rejsie na Kubę, w rejsach afrykańskich. Brali udział we wszystkich regatach, organizowanych przez Centrum Wychowania Morskiego i Wodnego Głównej Kwatery ZHP. Z niezłymi wynikami.

W „Wodniku" są sekcje: motorowodne, płetwonurków oraz ratowników. Nie kto inny, jak wodniacy z klubu urzędują nad Soliną w czasie wakacji: tworzą wodne ochotnicze pogotowie harcerskie, prowadzą kursy pływania, naprawiają żeglarski sprzęt. Dzięki nim Chorągiew Rzeszowska nie ma najmniejszych kłopotów z zapewnieniem bezpieczeństwa na swoich obozach harcerskich, zlokalizowanych nad akwenami wodnymi. Bardzo dobrze działa też drużyna kajakarska przy II LO w Rzeszowie, stanowiąca również sekcję „Wodnika". Na spływie Biebrzą i Narwią zajęła w swojej grupie drugie miejsce. **(kos)**

JEDYNA W SWOIM RODZAJU
PAPIERNIA MUZEUM

Mam 14 lat. Interesuję się geografią oraz lubię zwiedzać zabytki. Co roku wyjeżdżam w inne strony Polski. Podczas ostatnich wakacji byłem w Dusznikach-Zdroju. Jest to miejscowość uzdrowiskowa, w której znajduje się wiele domów wypoczynkowych, sanatoriów, prewentoriów i schronisko „Pod Muflonem". Duszniki-Zdrój posiadają także zabytkowy rynek oraz jedyny zabytek w Polsce i jeden z czterech w Europie. Jest to Zabytkowa Papiernia. Pierwsza wzmianka o niej pochodzi z 1562 r. W 1591 r. powódź zniszczyła pierwotny, drewniany budynek, w miejsce którego w 1605 r. zbudowano nowy w formie architektonicznej, zachowanej do dnia dzisiejszego. Papiernia wyposażona w najnowocześniejsze maszyny produkowała w tamtych czasach wysokiej jakości papier zwany „nieśmiertelnym". Stale unowocześniana, czynna była do 1938 r.

W latach 1959–1966 na zlecenie wojewódzkiego konserwatora zabytków we Wrocławiu budynek papierni zabezpieczono i wyremontowano. W roku 1966 Zjednoczenie Przemysłu Celulozowo-Papierniczego rozpoczęło prace organizacyjne, zmierzające do otwarcia Muzeum Papiernictwa. 26 lipca 1968 r. nastąpiło otwarcie Muzeum. Było to zakończenie pierwszego etapu prac organizacyjnych. W styczniu 1971 r. uruchomiona została czerpalnia papieru. Cena jednego kilograma tego papieru wynosi około 120 zł. Turystów zachęcam do zwiedzenia byłej papierni, gdyż – jak już wspomniałem – jest to obiekt jedyny w swoim rodzaju.

Robert Rzepecki
ul. Zielona 2
69-110 Rzepin

„Czarna skrzynka"
w szwedzkich samochodach?

NAWET PO ROKU
można będzie wykryć przekroczenie prędkości

SZWECJA (PAI). Przewiduje się tu zamontowanie we wszystkich samochodach osobowych urządzeń, w jakie dotychczas były wyposażane tylko ciężkie pojazdy przemysłowe. Chodzi o urządzenia rejestrujące datę i czas jazdy, a przede wszystkim – szybkość na różnych odcinkach. Władze policyjne liczą, że może ukróci to nagminne jej przekraczanie, pociągające za sobą nadmierne zużycie paliwa. Dozwolona szybkość na głównych autostradach Szwecji wynosi 110 km/godz., a kto ją przekroczy o 30 km/godz. – traci prawo jazdy na rok. Nowe urządzenia kontrolne, pozwalające sprawdzić nawet, z jaką szybkością kierowca jechał rok temu, przypominają nieco „czarne skrzynki" instalowane w samolotach dla rejestrowania manewrów i prędkości. Te samochodowe będą jednak dużo prostsze. Ich koszt – 100 dolarów sztuka. **(tok)**

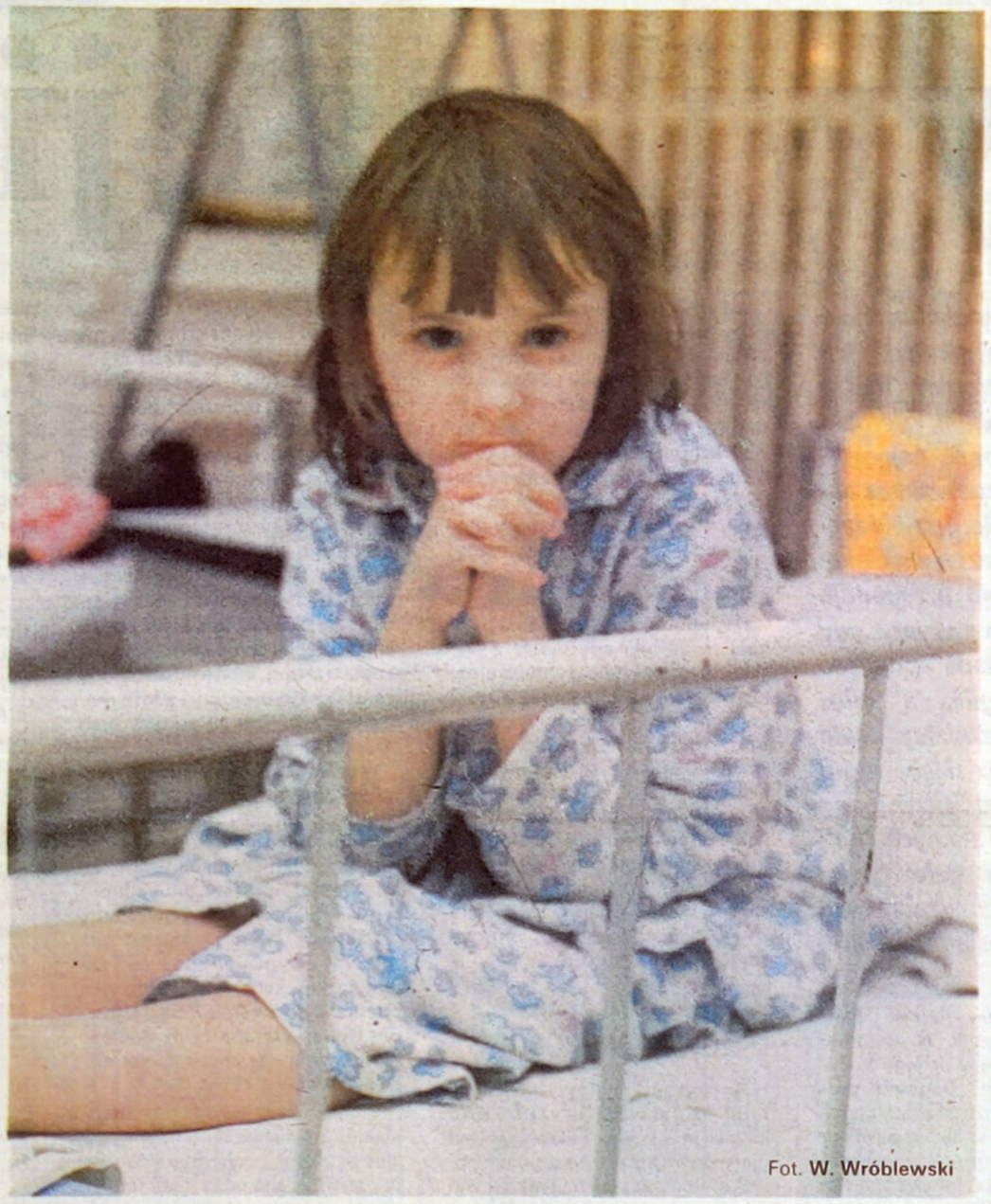

Fot. **W. Wróblewski**

STR. 5

Cena sekundy...

Do-re-mi...
już w przedszkolu

(CAF). Niedawno obchodziło 20-lecie swojej działalności Społeczne Przedszkole Muzyczne przy Państwowej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Opolu.

Przedszkolaki uczą się tutaj muzyki, śpiewu, na lekcjach rytmiki wyrabia się w nich nawyki ładnego poruszania się. W ub. roku w muzycznym przedszkolu uczyło się 70 maluchów w wieku od 3,5 do 6 lat. Z najmłodszymi prowadzi się proste rytmiczne gry i zabawy muzyczne. Starsi uczą się gry na instrumentach w klasie fortepianu, akordeonu i skrzypiec. W kwietniu ub. roku mali muzycy otrzymali najwyższe wyróżnienie w VII Ogólnopolskim Przeglądzie Pracy Społecznych Ognisk Muzycznych. Życzymy im dalszych sukcesów. **(kl)**

Fot. **CAF**

UWAGA, CZYTELNICY ZAINTERESOWANI TWÓRCZOŚCIĄ PLASTYCZNĄ

Dom Pioniera w Schwedt nad Odrą ogłosi XIII Międzynarodowy Konkurs Rysunkowy
„WZDŁUŻ ROROCIĄGU PRZYJAŹNI"

W Schwedt nad Odrą (NRD) w Domu Pioniera „Ernst Schneller" zakończył się niedawno XII Międzynarodowy Konkurs Rysunkowy pod hasłem „Wzdłuż Rurociągu Przyjaźni". Jak zwykle wzięły w nim udział dzieci i młodzież z 6 socjalistycznych krajów: Związku Radzieckiego, Polski, Węgier, Bułgarii, Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Wiek uczestników konkursu wahał się w granicach od 4 do 18 lat. XII Konkurs zgromadził 500 tys. prac, z których międzynarodowe jury wyłoniło 1000 prac, eksponowanych następnie na centralnej wystawie w Schwedt. Wręczono 195 medali i 1000 dyplomów oraz katalogi, albumy i wiele upominków.

W ostatnim konkursie polskie dzieci zdobyły aż 30 medali. W lutym wysłano do Polski 160 dyplomów dla grup twórczych w domach kultury, szkołach i klubach osiedlowych.

Niebawem zostanie ogłoszony XIII Konkurs. Termin nadsyłania prac mija 20 października 1980 roku.

Wszystkie zainteresowane grupy twórcze, które do tej pory nie brały udziału w konkursie, powinny zwrócić się bezpośrednio do Domu Pioniera, którego dokładny adres zamieszczamy. Warunki konkursu otrzymają drogą pocztową.

Organizatorzy zwracają uwagę, że indywidualne prace nie będą zwracane. Młodzież zainteresowana konkursem powinna połączyć się w grupy na terenie swoich szkół, domów kultury lub klubów osiedlowych.

Adres:
INTERNATIONALER ZEICHENVETTBEWERB
„ANTLANG DER ERDÖLLEITUNG FREUNDSCHAFT"
133 Schwedt /Oder
DDR
Pionierbaus „Ernst Schneller"

Na zdjęciu: *Fragment polskiej ekspozycji z ostatniego konkursu na wystawie w Domu Pioniera*

Kodeks Assemaniego

(SOFIA-PRESS). Kodeks Assemaniego jest cennym zabytkiem piśmiennictwa starobułgarskiego. Pisany głagolicą – najstarszym pismem słowiańskim stworzonym przez Cyryla, powstał w epoce, w której Cyryl wraz z Metodym prowadzili działalność misyjną na ziemiach słowiańskich, mającą na celu wprowadzenie głagolicy do liturgii.

Ten liczący już XI wieków zabytek przez wiele wieków był w posiadaniu papiestwa. W 1976 roku Watykańska Biblioteka Apostolska przekazała 270 kolorowych diapozytywów stronic Kodeksu. Stały się one cennym źródłem informacji dla historyków. Tym cenniejszym, że zbliżają się obchody 1300-lecia państwa bułgarskiego. Przygotowane przez Komitet Kultury i Bułgarską Akademię Nauk barwne wydanie fotooptyczne Kodeksu Assemaniego uświetni z pewnością tę rocznicę. **(ml)**

W ZABRZAŃSKIM MUZEUM GÓRNICTWA

To warto wiedzieć

BIEDNI I BOGACI

W połowie lutego br. obradowała w stolicy Indii, Delhi, III Konferencja Generalna ONZ do Spraw Rozwoju Przemysłowego (angielski skrót: UNIDO). Niestety, konferencja ta zakończyła się niepowodzeniem, tzn. uczestniczące w niej państwa nie osiągnęły porozumienia, które gwarantowałoby szybszy rozwój krajów biednych lub – jak się je nazywa inaczej – krajami Trzeciego Świata. Chodziło o to, aby utworzyć międzynarodowy fundusz pomocy w wysokości 300 miliardów dolarów. Oczekiwano, że bogate państwa kapitalistyczne pomogą zgromadzić potrzebne pieniądze, czy to w formie darowizny, czy wieloletnich, nisko oprocentowanych pożyczek, ale nic z tego nie wyszło. Przedstawiciele państw wysoko uprzemysłowionych, a przede wszystkim szef delegacji amerykańskiej, John McDonald, uznali ideę utworzenia międzynarodowego funduszu pomocy za nierealną, głównie ze względu na jego wysokość. Faktycznie 300 mld dolarów to ogromna kwota, ale tylko taka suma jest w stanie zabezpieczyć projekt rozwoju krajów biednych, które w roku 2000 miały osiągnąć 25 procent ogólnej produkcji przemysłowej świata (obecnie ich udział w produkcji światowej wynosi 9 proc.).

Dyskusja nad sposobem udzielenia pomocy krajom rozwijającym się trwa już kilka lat. Zapoczątkowała je tzw. Grupa 77 (nazwa pochodzi od ilości państw Trzeciego Świata, które się po raz pierwszy zebrały, chociaż dziś faktycznie liczy ona już ponad 110 państw). Dialog między biednymi i bogatymi, lub jak się często określa między Południem a Północą, nie przynosi spodziewanych efektów. Po kilku latach jest nawet gorzej – biedni są jeszcze biedniejsi, a bogaci jeszcze bardziej bogatsi. Średni bowiem dochód narodowy wśród 30 najbiedniejszych krajów rozwijających się, który w latach 60-tych wynosił jedną trzecią dochodu narodowego całego Trzeciego Świata, spadł obecnie do jednej czwartej. Jeśli nic się nie zmieni, to za 10 lat będzie on jeszcze niższy.

Państwa kapitalistyczne, tłumacząc się niemożliwością udzielenia krajom biednym skutecznej pomocy, wysuwają swe własne kłopoty gospodarcze, wynikające z ogólnego kryzysu. Programy na najbliższe dziesięciolecie również nie są optymistyczne. Nadal świat będzie nękać inflacja, drożyzna i brak równowagi w budżetach państwowych. Jednak te wszystkie kłopoty bogatych są niczym w porównaniu z nędzą i niemożliwością wybrnięcia z trudnej sytuacji biednego Południa. Ich deficyt w bilansie handlowym ze światem osiągnął horrendalne rozmiary i stale rośnie. Tylko tegoroczny wydatek na ropę spowoduje, że deficyt ten wzrośnie o następne 60 miliardów dolarów.

Jak z tego wybrnąć? Bogaci mają na to jedną radę – otworzyć gospodarki krajów rozwijających się dla prywatnych kapitałów. Tylko w ten sposób będzie można rozwinąć przemysł w krajach Trzeciego Świata. Może by się tak i stało, ale wówczas biedni staliby się na nowo niewolnikami we własnych krajach, uzależnieni od obcego kapitału. Takiego rozwiązania Trzeci Świat nie chce. I tak, dialog Północ–Południe przypomina trochę rozmowę głuchych – jak to trafnie określił w Delhi obecny przewodniczący Grupy 77, Tunezyjczyk Ahmed Ghezal.

III Konferencja UNIDO nie tylko nie przyniosła żadnych rezultatów, ale również nie stworzyła nawet perspektyw dla sesji specjalnej Zgromadzenia Ogólnego ONZ, która zbiera się w sierpniu br. w Nowym Jorku. A celem tej sesji ma być ustalenie międzynarodowej strategii rozwoju na lata osiemdziesiąte. (b)

Podróże do źródeł cywilizacji

„Radzę czytelnikowi nie zaczynać tej książki od pierwszej stronicy. Radzę mu tak, bo wiem, jak mało skutku odnoszą najgorętsze nawet zapewnienia autora, iż ma do opowiedzenia rzeczy niezwykle ciekawe. Jak mało przekonują zwłaszcza wówczas, gdy tytuł zapowiada «powieść o archeologii», a więc książkę z dziedziny nauki o starożytnościach, którą zwykło uważać się za jedną z najbardziej suchych i najnudniejszych gałęzi wiedzy. Radziłbym zacząć od strony osiemdziesiątej piątej..."

Propozycja niemieckiego dziennikarza i krytyka **C. W. Cerama**, zawarta we wstępie do jego fascynującej książki pt. **„Bogowie, groby, uczeni"**, jest może nieco zaskakująca, ale tylko w pierwszej chwili. Każda bowiem metoda podsycania ciekawości czytelnika jest dobra, zwłaszcza jeśli temat nie należy ani do zbyt łatwych, ani zbyt efektownych. Odnosi się ona zresztą do wszystkich książek z serii nazwanej popularnie „ceramowską" (od nazwiska autora pierwszej w tym cyklu pozycji), a wydawanych nieprzerwanie przez Państwowy Instytut Wydawniczy już od dwudziestu dwóch lat!

Cóż to jest za seria? Jakich spraw dotyczy? Do kogo jest adresowana? Tak naprawdę nazywa się „Rodowody cywilizacji" i właściwie już w tym sformułowaniu zawiera określenie swej tematyki. Arcyciekawe i fascynujące dzieje odkryć naukowych, losy zaginionych cywilizacji, opowieści o dawnych kulturach, wierzeniach, obyczajach i mitach ze wszystkich czterech stron świata, dzieje egzotycznych plemion i zapomnianych tradycji, a wszystko to podane w sposób nader atrakcyjny i popularny. O takiej właśnie, popularnonaukowej formie opowieści zadecydował ich potencjalny odbiorca – nie naukowiec, nie specjalista z wąskiej dziedziny wiedzy, lecz amator, miłośnik archeologii, historii czy malarstwa. W tym miejscu może się oczywiście zrodzić wątpliwość. Skoro nie są to poważne, fachowe dzieła naukowe, lecz ubrane w literacką fabułę takie tam sobie opowiastki, które na dodatek można czytać od dowolnej strony, to i podane w nich fakty – mógłby ktoś pomyśleć – mają wartość naukową, że pożal się boże! Tymczasem nic podobnego!

WYNALAZEK „ŁOWCY MIKROBÓW"

Amerykański lekarz – Paul de Kruif – autor wydanej w 1927 roku książki pt. „Łowcy mikrobów" był pierwszym, który użył zupełnie nowej metody w przedstawianiu wyników badań naukowych. Wychodził bowiem ze słusznego skądinąd założenia, że tak naprawdę w dociekaniach każdego uczonego, tropieniu śladów, niepowodzeniach i kłopotach mieści się tyle napięcia, tyle ładunku dramatycznego, że nie powstydziłby się go żaden kryminał. W ten oto właśnie sposób narodził się nowy gatunek naukowo-literacki – „powieść autentyczna". W popularny i sensacyjny sposób przedstawione dzieje dawnych Turków czy opisy najbardziej nawet zaskakujących czytelnika obyczajów ludów eskimoskich, nie są więc w tych książkach nigdy bajeczkami. Choć często na takie wyglądają. Bo przecież nigdzie nie jest powiedziane, że wszystko co mądre, naukowe, musi nieprzygotowanego czytelnika zniechęcić już na czwartej stronie. Chcesz się więc czegoś nauczyć, czegoś interesującego dowiedzieć? Sięgnij po „cerama"! Tak chyba najkrócej można by sformułować sens i wartość serii, liczącej dzisiaj już ponad osiemdziesiąt tomów. A skoro już o nauce mowa, warto może byłoby wiedzieć, kto nas uczy i komu mamy wierzyć. Kim są autorzy tych książek?

W większości to naukowcy – wysokiej klasy specjaliści, w równym stopniu obdarzeni walorami umysłowymi, wiedzą i autorytetem, co i zdolnościami popularyzatorskimi. A jest to, niestety, umiejętność rzadko spotykana w poważnym, naukowym świecie. Wynika ona zarówno z wymagań „powieści autentycznej", jak również i z faktu, że popularyzacja wiedzy ciągle jeszcze bywa uważana za działalność niepoważną. Ba, może nawet nieco i wstydliwą...

Wybitny archeolog – profesor Kazimierz Michałowski powiedział kiedyś, że trzy cechy charakteryzują prawdziwego uczonego: naukowe osiągnięcia, wychowanie uczniów oraz umiejętność popularyzowania tego, nad czym się pracuje. Nie dość więc dokonać nawet bardzo ważnego, naukowego odkrycia, lecz – co nie mniej ważne – umieć opowiedzieć o nim ludziom spoza swojej specjalności.

Ale rodowody cywilizacji fascynują nie tylko naukowców. Wśród autorów nie brak również pisarzy, krytyków, dziennikarzy, podróżników – słowem tych, których ciekawi zarówno odległy, jak i współczesny świat. Stąd książki o Hannibalu i sztuce Etrusków, podboju Peru i upadku Babilonii. O wyprawach Wikingów i cywilizacji chińskiej, Indianach z Meksyku i portugalskich konkwistadorach, kulturze ludów Azji Centralnej i Maorysach z Nowej Zelandii. Czyżby więc seria miała się niebawem ku końcowi, bo wydaje się, że napisano w niej już o wszystkim?

„Nic podobnego! – zapewniła mnie Barbara Przybyłowska – zastępca redaktora naczelnego PIW. *– Tak wiele problemów czeka jeszcze na opracowanie, że nie grozi nam niebezpieczeństwo szybkiego wyczerpania tematyki. Np. już wkrótce nasi czytelnicy znajdą w księgarniach m. in.* ***«Renesans Islamu», «Paritron. Dzieje Indii od XVI–XIX w.», «Lapończyków»*** *oraz pracę zbiorową polskich uczonych pt.* ***«Z powrotem na Ziemię»****. Zaczynamy się również zastanawiać nad nowym, wielkim tematem – historią wojen krzyżowych".*

FASCYNUJĄCA OPOWIEŚĆ O ZMIERZCHU PEWNEJ EPOKI

Przesadą byłoby twierdzić, że znam większość pozycji, jakie dotąd ukazały się w serii „ceramowskiej". Jednakże do jednej z nich, którą po raz pierwszy przeczytałem wiele lat temu, wracam zawsze z ogromnym upodobaniem. To **„Jesień średniowiecza"** – wspaniała, porywająco napisana historia kultury zachodniej Europy XIV i XV w. pióra wielkiego holenderskiego erudyty: językoznawcy, historyka i filozofa – Johana Huizingi. Wieloletnie, gruntowne i staranne studia nad kulturą tamtych czasów, trwające w sumie szesnaście lat (!), dały efekt olśniewający. Powstała *żywa*, barwna i z wielkim talentem literackim napisana opowieść o zmierzchu epoki. O bogactwie form życia i kulturze mieszkańców średniowiecznej Francji. Umysłowości, religii i rycerskich ceremoniałach. Okrucieństwie, miłosierdziu i głupocie. Przepychu i ubóstwie... „Jesień średniowiecza" – uznaną dziś niemal za klasyczną pozycję historii kultury, przetłumaczono niemal na wszystkie języki. W Polsce jej pierwsze wydanie ukazało się w roku...

Nie sposób oddać całego bogactwa tej książki: jej wspaniałego języka, potoczystego stylu, lekkości i pełnych dramatycznego napięcia opisów, ale myślę, że ten krótki fragment z rozdziału „Dynamika życia", choć w części scharakteryzuje sposób pisania autora. ***„Życie było tak jaskrawe i różnorodne, że jednym wciągnięciem powietrza wdychano woń krwi i róż. Pomiędzy piekielnym strachem i dziecinnym żartem, pomiędzy okrutną zatwardziałością i skorym do łez współczuciem, lud chwiał się to w tę, to w inną stronę jak olbrzym z głową dziecka. Życie upływało między całkowitym wyrzeczeniem się wszelkich uciech światowych a obłąkanym pędem do bogactwa i użycia, między dyszącą nienawiścią a skorą do śmiechu dobrodusznością". (...) Ówczesne sposoby postępowania z chorymi umysłowo poznajemy z relacji o traktowaniu Karola VI, który przecież jako król podlegał opiece, korzystnie odbijającej od tej, którą musieli znosić inni. Żeby biednego obłąkańca zmusić do kąpieli, nie zdołano wymyślić niczego lepsze-***

TERESA MACISZEWSKA

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

„NAJWAŻNIEJSZY JEST JĘZYK" — mówi profesor Jerzy Smolicz z Adelajdy

– Nie ma nic ważniejszego w kulturze polskiej ponad język. Może jeszcze tradycje, ale język, zwłaszcza na obczyźnie, decyduje o tożsamości narodowej. I nikt mnie nie przekona – podkreśla profesor – że język ojczysty, polski, w środowiskach polonijnych przeszkadza w opanowaniu języka głównego, tzn. języka urzędowego w kraju, w którym się mieszka. Mój dom, moja najbliższa rodzina jest tego najlepszym przykładem. Mam dwoje dzieci. Dwunastoletnia Kamila i jedenastoletni Krzysztof władają biegle zarówno polskim, jak i angielskim. W domu rozmawiamy z nimi po polsku, a w szkole Kamila jest prymuską z angielskiego. Tutaj wiele zależy od rodziców, od dziadków. Chodzi o to, że najpierw rodzice muszą czuć potrzebę zachowania znajomości języka ojczystego, a dopiero potem zaszczepiają ją własnym dzieciom.

Prof. Jerzy Smolicz z Australii znowu gościł w Polsce. Spotykał się z naukowcami i prowadził gościnne wykłady. Dotyczyły one roli języka polskiego w tworzeniu kultury i nauki polskiej na wychodźstwie. Bo język – zdaniem prof. Smolicza – jest elementem najważniejszym w zachowaniu polskości, zwłaszcza za oceanem; w Australii, w skupiskach polskich w Detroit, Chicago, Nowym Jorku czy też nieco bliżej, jak chociażby w północnych departamentach Francji i Pas-de-Calais... I wszędzie tam, gdzie są rodziny polskie.

Urodził się prof. Jerzy Smolicz 2 lutego 1935 roku w Warszawie. Wywędrował do... Szkocji, potem do Anglii. Szkołę podstawową ukończył w wiosce libańskiej koło Bejrutu, a gimnazjum klasyczne w Inverness w północnej Szkocji. W Edynburgu studiował chemię. Studia zostały uwieńczone doktoratem. Wkrótce po tym naukowym „skoku" awansował na członka Królewskiego Instytutu Chemii w Londynie. Na tym nie koniec. Po chemii przyszła kolej na nauki społeczne, które studiował w Oxfordzie. Potem wywędrował do dalekiej Australii i tu został wybrany na członka Australijskiej Akademii Nauk Społecznych... Obecne miejsce pracy: profesor i dziekan wydziału pedagogicznego uniwersytetu w Adelajdzie. Ostatnio wydał kolejną swą książkę pt. „Kultura i edukacja w społeczeństwie wielokulturowym". Jak stwierdził podczas jednej z naszych rozmów, u podstaw tej właśnie książki legła teoria o kulturze, którą sformułował światowej sławy socjolog i filozof kultury, Florian Znaniecki (1882–1958).

– W Australii pracujemy nad nowym projektem reformy szkolnej – mówi dalej prof. Smolicz – zmierzającej do wprowadzenia wielokulturowości i wielojęzykowości w programach szkolnych. Byłem członkiem komisji rządowej i powiem, o co chodzi. Chodzi właśnie o języki, które dawniej nazywano „emigracyjnymi". Ale co to za języki „emigracyjne", skoro nimi posługują się trzecie pokolenia Greków, Włochów, a nawet już Polaków... urodzonych w Australii.

Wystarczy, że jedno pokolenie zbagatelizuje sobie kultywowanie języka i powstaje luka w ciągłości tradycji narodowej. Z zanikiem języka zanikają inne atrybuty narodowe: folklor, kuchnia polska, wspomnienia, miłość do ziemi, do stron ojczystych.

Z badań, które osobiście przeprowadziłem w Adelajdzie wynika, że jakieś 80–90 procent młodzieży polonijnej rozmawia po polsku z dziadkami; 60–70 procent z rodzicami, a jakieś 20 procent ze swoimi rówieśnikami. Rzecz niepokojąca! Bo kto ma tę znajomość języka polskiego wśród Polonii utrzymać? Listy od rodziny z Polski, czy też tygodniki polskie? To jednak za mało! Język polski w Australii musi być traktowany na równi z innymi językami – mówi na zakończenie rozmowy prof. Smolicz – jako przedmiot maturalny.

Rozmawiał: JERZY MAREK (Interpress)

Jest sprawa!!!

„W naszej szkole są dwie sale gimnastyczne, ale my ćwiczymy na korytarzu lub w jednej sali gniotą się trzy klasy. Jedna sala jest zaś do dyspozycji klasy ze szkoły nr 73. Z sali tej korzysta albo 9 osób z obcej szkoły albo stoi ona pusta. W lecie można wytrzymać, bo wtedy ćwiczymy na boisku, ale w zimie lub na jesieni...” **Jest to fragment listu, który przyszedł do redakcji od „rozżalonych i pozbawionych sali uczennic ze Szkoły Podstawowej nr 59 we Wrocławiu. Z dalszej treści listu wynikało, iż warunki jakie zostały stworzone uczniom przez szkołę rzeczywiście uniemożliwiają realizację normalnego programu wychowania fizycznego.**

Fakt odbywania lekcji na korytarzu czy na boisku nie wzbudził wielkiego zdziwienia. Wiele jest jeszcze bowiem szkół w Polsce, w których z powodu braku pomieszczeń lekcje odbywają się właśnie w ten, a nie w inny sposób. List natomiast wyraźnie sugerował, że pomieszczenia są, tylko się ich nie wykorzystuje. Problem okazał się więc godny zainteresowania. Zastana rzeczywistość była jednak odległa od tego, czego się spodziewałam.

Dyrekcja była zaskoczona. „Problemy poruszone w liście nigdy nie były przez uczniów postawione. Sytuacja w szkole jest trudna, ale nie ma chyba powodu do skarg. Pewne trudności – owszem – mamy, ale wynikają one z przyczyn obiektywnych” – mówi dyrektor. Po czym następuje długi wywód na temat tego, ile to istnieje w szkole możliwości rozwijania przez uczniów zainteresowania sportem, a więc: SKS, zespół rytmiczno-taneczny, sekcja tenisa stołowego, gimnastyki artystycznej itd. „Ważne jest, że dzieci mają w ogóle gdzie ćwiczyć. W całej Polsce ćwiczą na korytarzach. Żadnych uwag ze strony rodziców nie było” – dodaje przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego. Owe zaskoczenie podziela również pani pedagog. „Proszę porozmawiać z samorządem. Mam z nim częste kontakty. Dzieci mają do mnie zaufanie i gdyby coś było źle, na pewno by mi o tym powiedziały”.

Faktycznie. Przedstawiciele samorządu uczniowskiego zrobili wielkie oczy. Oni się pod listem nie podpisują. Ktoś im wyraźnie zrobił kawał. Bo tak w ogóle to w szkole jest fajnie, na lekcjach wf również. W innych szkołach nie ma sal gimnastycznych i młodzież jakoś żyje, a tu ktoś zrobił „z igły widły”... Tak, że „nie ma sprawy”.

Można by, poprzestając na tym, uznać problem za nieistniejący. No bo skoro nawet samorząd... Ale przyjrzyjmy się wszystkiemu dokładniej.

Do ubiegłego roku szkoła zajmowała tylko część budynku. Administratorem była szkoła nr 77. Młodzież z „59” chcąc dotrzeć do sali gimnastycznej musiała przejść przez boisko. Z uwagi na to, że przy sali nie ma szatni, dzieci rozbierały się na „swoim” terenie i biegły przez boisko w szortach i podkoszulkach. Rodzice skarżyli się, że latorośle im chorują, ale wyjścia z sytuacji nie było. W tym roku, kiedy do dyspozycji szkoły oddano cały budynek, problem zniknął, ale... młodzież choruje nadal. Skrzydło budynku, w którym mieszczą się sale, jest niedogrzane. Nauczyciele wychowania fizycznego notują w okresie mrozu temperatury –3, –4°C. Konieczny jest remont wszystkich kaloryferów. Jak twierdzi dyrekcja „jesteśmy administratorami budynku od niedawna, nie było więc możliwości rozeznania w sytuacji”. Nie jest to argument przekonywający. Młodzież z sali korzystała już w latach poprzednich. „Rozeznanie” więc było możliwe. A jeśli nawet przyjąć ten argument, to już kilka miesięcy przedtem należało podjąć kroki zmierzające do poprawienia sytuacji. O ile bezskuteczne próby znalezienia kogoś na etat palacza szkolnego, czy niemożność zakupienia piecyków elektrycznych do ogrzewania sal (z uwagi na trudną sytuację energetyczną w kraju) można uznać za przyczyny obiektywne, o tyle tłumaczenie, że dzieci mają dresy a jak ćwiczą, to się rozgrzeją – jest nie do przyjęcia.

Do szkoły uczęszcza 1600 uczniów. Jest to więc 50 oddziałów a w każdym około 35 dzieci. Na każdą klasę przypadają 4 godziny wf tygodniowo. Ponadto jedna z nich ma profil sportowy – na wychowaniu fizycznym spędza więc dwanaście godzin w tygodniu. Dochodzą do tego apele, akademie, większe zebrania, które również odbywają się w sali gimnastycznej. Sala jest więc wykorzystywana i to w nadmiarze. Zdarza się, że w tym samym czasie w jednej z sal ćwiczą trzy klasy, a jeszcze inna gnieździ się na betonowym korytarzu. Harmider jest ogromny. „Wychodzimy po tych lekcjach jak po męczarniach. Mamy już chroniczny ból głowy” – mówią prowadzący wf. Dodać należy jeszcze, że dwa razy w tygodniu z jednej sali korzysta młodzież z pozbawionej zupełnie sali gimnastycznej szkoły nr 73, co dodatkowo komplikuje i tak trudną sytuację.

Nauczyciele prowadzący lekcje wychowania fizycznego mają pretensje do dyrekcji szkoły o złe ułożenie planu lekcji. „W takim przepełnieniu, jakie jest w naszej szkole, plan lekcji powinien być układany przede wszystkim z uwzględnieniem sytuacji w salach gimnastycznych. Jest klasa w szkole, która jeszcze na oczy sali nie widziała. Przecież nie sposób zrealizować całego programu obowiązującego w danym roku nauczania... na betonie. A po drugie jest to niezgodne z przepisami BHP. Nasze uwagi kierowane do dyrekcji, jak dotąd, nie były uwzględniane.”

Co na to dyrekcja? Że owszem, nauczyciele przychodzą z uwagami, ale często zapominają o własnych niedopatrzeniach, że można ich zastać siedzących w magazynku i tłumaczących się żimnem, podczas gdy dzieci ćwiczą same, że nie realizują programu itd., itd.

Wynika więc z tego, iż powiedzenie przedstawicieli samorządu „nie ma sprawy” jest niezgodne z prawdą. Potwierdzają to również uczniowie przypadkowo zaczepieni na korytarzu szkolnym. Przychylają się oni do uwag nauczycieli. „Może w liście ujęto to nie dość jasno, ale jest masa spraw, które należałoby zmienić” – mówią. Narzekają na źle ułożony plan lekcji, brak sprzętu (na 1600 osób przypada jedna piłka do siatkówki!), brak zamków w szatni, przez co giną ubrania, zimno itp. Jedno jest więc pewne – nikt „wideł z igły” nie zrobił.

Z ustaleniem winnych jest jednak problem. Na pewno sprawa rozsądnego ułożenia planu spoczywa na barkach dyrekcji i niedopatrzenia, wskutek których niektóre dzieci pozbawione są zupełnie dostępu do sal gimnastycznych, są nie do przyjęcia. Jednym ze sposobów zapobieżenia temu jest dwuzmianowy system pracy szkoły. Może zastosowanie takiego systemu w SP-59 we Wrocławiu rozwiązałoby problem. Odnoszę wrażenie, że pozostałe niedopatrzenia wynikają z niechęci tejże dyrekcji do podejmowania dyskusji na te tematy z nauczycielami i z przyjęcia postawy – brzydko mówiąc – „umywającego ręce”. Wydaje mi się, że kłopoty będą istniały dopóty, dopóki między obiema stronami nie dojdzie do pełnego porozumienia.

Niepokój budzi również niezgodność w ocenie sytuacji między uczniami a samorządem, który jest przecież tychże uczniów przedstawicielem!

A więc, sprawa jest i polega nie tylko na tym, iż w szkole nr 59 we Wrocławiu lekcje wychowania fizycznego odbywają się nie w takich warunkach jak należy. Polega ona przede wszystkim na tym, że zapanowała w szkole niezdrowa atmosfera, która uniemożliwia poprawę i tak trudnej sytuacji.

ALINA WIENIAWSKA

GÓRNICTWO, wczoraj i dziś

W ZABRZAŃSKIM MUZEUM GÓRNICTWA

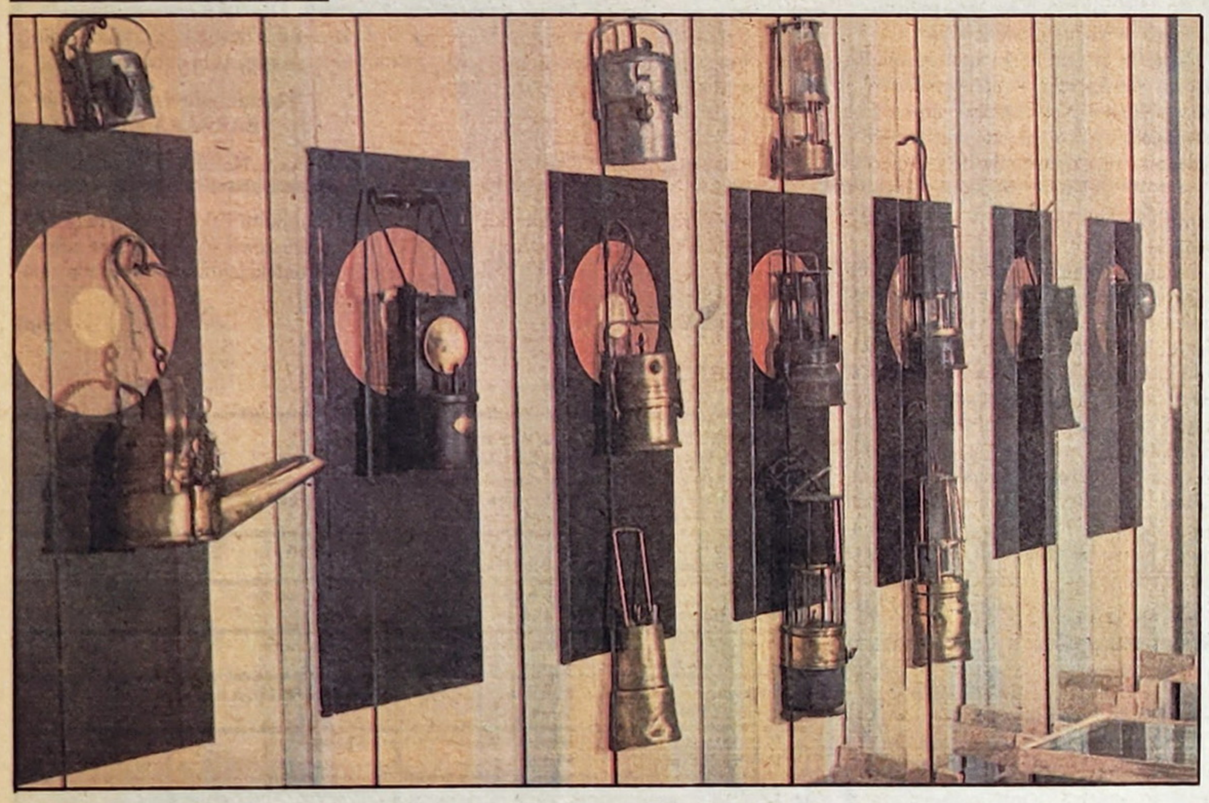

W stylowo przygotowanych pomieszczeniach budynku po byłym technikum budowlanym w Zabrzu otwarto Muzeum Górnictwa Węglowego – pierwszą tego typu placówkę w Polsce.

Nieprzypadkowo muzeum powstało w mieście o bogatych tradycjach górniczych. To właśnie w Zabrzu, w kopalni „Jadwiga”, Wincenty Pstrowski w 1947 roku rzucił hasło o podjęcie socjalistycznego współzawodnictwa pracy; tutaj też w 1948 roku górnicy kopalni Zabrze podjęli czyn kongresowy.

Zgromadzone eksponaty pochodzą ze związkowego Muzeum Górniczego w Sosnowcu, działu przemysłu zabrzańskiego muzeum i darów górników. Zebrane w trzech działach obejmują dzieje górnictwa na ziemiach polskich do 1945 roku, górnictwo w Polsce Ludowej oraz górniczą tradycję.

Najbardziej obszerny jest dział obrazujący powojenny przemysł węglowy. Pokazano w nim budownictwo nowych kopalń, rozwój nowoczesnej techniki górniczej, miernictwa, ochrony środowiska. Eksponaty poświęcone problematyce bezpieczeństwa i higieny pracy ukazują rozwój tej dziedziny. Zaprezentowano między innymi, obok najbardziej nowoczesnego sprzętu ratowniczego, jeden z najstarszych aparatów tlenowych, jakimi kiedyś posługiwali się w akcjach ratownicy.

Dużym zainteresowaniem wśród zwiedzających cieszy się ekspozycja obrazująca rozwój techniki górniczej do połowy XVII w. oraz dokumenty ukazujące dzieje górnictwa węgla kamiennego, a także historię górnictwa solnego i kruszcowego. Są tu też zbiory kopalin ziem polskich.

W dziale poświęconym tradycji i kulturze górniczej znajdują się obrazy, rzeźby, insygnia górnicze poświęcone życiu i pracy ludzi Śląska. Doskonale zaaranżowane wnętrza dawnych mieszkań górniczych przypominają opis z ludowej piosenki:

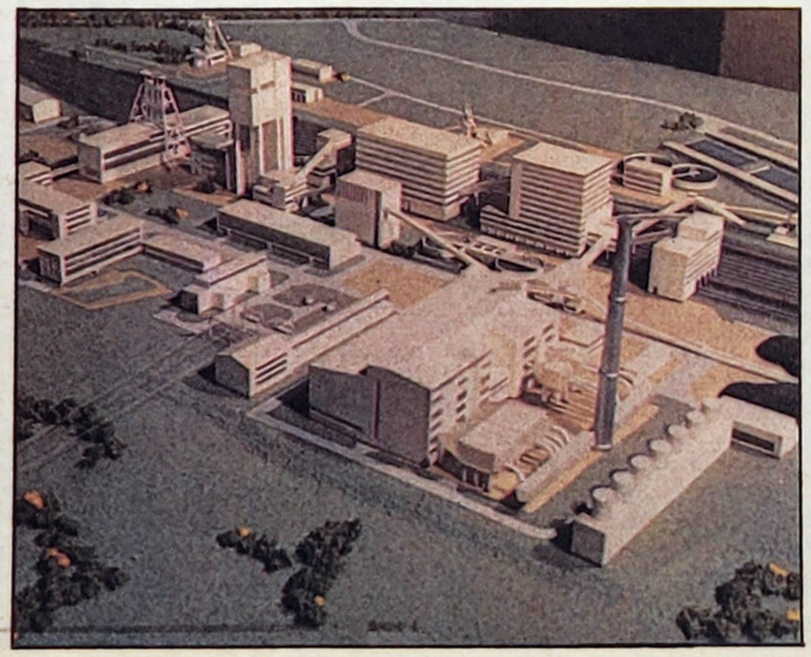

U bergmana wisi
kilof i hełmisko
coby tam wiedzieli,
że tam bergmom mieszko.
Skrzypeczka na ścianie, piesek na kanapce,
kanarek w okienku,
dzieciątko w kolebce.
Dwanaście fajeczek
z długimi rułkami
a srebrny zegarek
między obrazkami.

STANISŁAW WOŹNICA

Fot. **Z. Bisanz**

REDAKCYJNA POCZTA

O wspólny język z rodzicami

Jestem uczennicą VIII klasy, ale niestety, rodzice prawie na nic mi nie pozwalają. Gdy idę do koleżanki, podejrzewają, że jest to nieprawda, nie pozwalają mi iść do kina i mówią: „co ci z tego przyjdzie?” Nie mogę rozmawiać z chłopcami (ale i tak rozmawiam), a gdyby przyszedł do mnie kolega, miałabym przykrości. Wiele razy tłumaczyłam rodzicom, że teraz jest inaczej, nie tak jak dawniej, ale moje argumenty nie pomagają. Tato ciągle powtarza, że powinnam się bardzo dobrze uczyć, powinnam iść na studia, a przecież dobrze się uczę. Całe popołudnia siedzę nad książkami, ale rozrywka też jest mi potrzebna. Nie wiem, czy istnieje jakaś rada, czy muszę tylko ślęczeć nad książkami? Wydrukujcie mój list, może ktoś jest (lub był) w podobnej sytuacji i ma nadzieję, że z tego wybrnie, a jeżeli tak, to jak?

„Lilka”

Interesuję się sportem, filatelistyką, zbieram widokówki ze zwierzętami, mam 11 lat. Chciałabym nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami o podobnych zainteresowaniach. Iwona Michałowska, ul. Zakopiańska 29, 54-031 Wrocław.

Kto zawinił?

Chodzili ze sobą od pół roku. Między innymi dzięki mojej namowie pojechali razem na obóz ZHP. Przez pierwsze dwa tygodnie byli ze sobą bardzo szczęśliwi, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym miała się odbyć dyskoteka. Zdziwiłem się bardzo widząc, że ona bawi się tylko z druhem K. Gdy on ją wreszcie poprosił do tańca, odmówiła. Zrozpaczony pobiegł do namiotu i do końca zabawy już nie wrócił. Zrozumiał, że między nimi skończone. Postanowił jednak nie okazywać jej swego rozgoryczenia i zaczął chodzić z R., która obiecywała sobie bardzo wiele. Po przyjeździe z obozu on, jak sam mi powiedział, „zniknął z jej życia”. Gdy R. dowiedziała się o tym, była załamana. Wczoraj ją spotkałem i było mi bardzo przykro, bo nie wiem, kto zawinił on, ona, czy może ja?

„IXI”

Jestem ruda i chuda

Chodzę do czwartej klasy i nieźle się uczę. Mam same piątki i czwórki. Ale co z tego, kiedy jestem bardzo brzydka. Mam włosy jasnorude, dużo piegów, nos jak ziemniak i jestem strasznie chuda i wysoka. Nie mam żadnej koleżanki. Jestem sama. Przychodzą do mnie tylko wtedy, gdy potrzebują zadanie. Śmieją się ze mnie i ośmieszają mnie przy chłopcach. Chociaż mam 10 lat, zaczynam interesować się chłopcami, a szczególnie jednym. Kiedyś zwracał na mnie uwagę, ale moje „kochane” koleżanki tak go omamiły, że teraz to już zupełna klapa.

Renata

OD REDAKCJI: Jesteś bardzo fajną i miłą 10-letnią dziewczynką. Że wysoka i chuda? Toż to są zalety, a nie wady! A przy tym masz piękny i oryginalny kolor włosów. I chyba tą cechą a może jeszcze sposobem myślenia przypominasz rudowłosą Anię z Zielonego Wzgórza? Czy znasz powieść o Ani? Jeśli nie, przeczytaj, pomoże Ci to pozbyć się zbędnych kompleksów. A na intrygi nieżyczliwych koleżanek staraj się nie zwracać uwagi. Wtedy ich „działalność” szybko im się znudzi. (bs)

Wysoka nagroda wyznaczona przez brytyjskiego przemysłowca, Henry Kremera, dla tego, komu uda się wykonać lot maszyną cięższą od powietrza napędzaną siłą mięśni, kusiła wielu hobbistów i domorosłych majsterkowiczów. Powstawało więc wiele mięśniolotów, żaden jednak nie spełniał technicznych wymagań, które pozwalałyby na taki wyczyn. Dopiero przed dwoma laty dwudziestodwuosobowy zespół MacCready'ego zdobył nagrodę za przelot mięśniolotem po przepisowej ósemce. Pilotował go Bryan Allen, biolog z Kalifornii.

Największe jednak wrażenie wywarł w świecie lot nad kanałem La Manche. Dokonał tego również Allen, tym razem na ,,Albatrosie", konstrukcji inż. lotnictwa Paula MacCready.

Latający rower wystartował 12 czerwca 1979 r. z angielskiego wybrzeża w okolicy Folkestone (patrz mapka). Celem była miejscowość Cap Gris Nez we Francji w odległości 37 km za kanałem. Oto wspomnienia pilota:

2 godz. 49 minut na latającym rowerze

Chyba mi się nie uda. Przed dziewięćdziesięcioma minutami czułem się pewniej, wiedząc, że solidnie pracowaliśmy nad tym przez półtora roku. Przy starcie próbnym odpadło jedno koło; udało się je natychmiast zamienić. Wystartowałem w końcu przed świtem o 4.51.

4.52. Po raz pierwszy lecę nad wodą i czuję się wspaniale; jestem podekscytowany. Maszyna skonstruowana została specjalnie do tego lotu. Nade mną duże, wykonane z przeźroczystego materiału skrzydło długości 28 metrów. To więcej niż rozpiętość DC-9. Przede mną, zawieszony na lekkiej konstrukcji, stateczник. Kontroluję nim kierunek lotu. Za mną czterometrowe śmigło pchające.

Cała maszyna łącznie z dwukanałowym radiem, wysokościomierzem, szybkościomierzem i dwoma litrami wody do picia waży około 38 kilogramów, plus oczywiście mój własny ciężar – 70 kilogramów.

Był to najdłuższy napędzany mięśniami lot. Start nastąpił 12 czerwca 1979 o godz. 4.51 – lądowanie o 7.40. Trasa długości 36 km została pokonana w 70 lat po pierwszym przelocie samolotem przez Louisa Blèriota

Aby utrzymać prędkość 19–22 km/h muszę pedałować bez przerwy, tak, aby ilość obrotów wynosiła 90 na minutę i uzyskać moc 1/3 KM. Za towarzystwo mam flotyllę składającą się z 15 łódek eskortowych. Na trzech pontonach płynie mój zespół. Jeden taki ponton mam za sobą, dwa po bokach. Wszystkie wyposażone w rádio. Przed flotyllą płynie brytyjski krążownik, który nam wszystkim wskazuje kierunek.

5.07. Pierwsze kłopoty. Wiatr i fale wywołują wiry powietrza. Lecąc na wysokości 3 metrów muszę często wykonywać manewry, by utrzymać się na kursie. Zaczynam pocić się z wysiłku; wilgoć osiada na przeźroczystych dotąd ściankach kabiny. Widoczność jest ograniczona. Wiatry przeciwne wyhamowywują prędkość ,,Albatrosa". Wydaje mi się, że mam opóźnienie. Co dziesięć minut z pontonu po prawej otrzymuję przez radio sygnały czasu. Odstępy między kolejnymi komunikatami to dla mnie godziny. W dalszym ciągu kołysze. Wiele energii zużywam na manewrowanie. Ani na chwilę nie mogę odpocząć. Pochylam się do przodu, aby pociągnąć wody z butelki i... zbaczam 30 stopni z kursu! Oglądam się za siebie. Nadal widzę te cholerne skały Dovru. Przysięgam sobie, że się już nie odwrócę...

6.05. Przeciwny wiatr jest coraz mocniejszy. Paul nadaje przez radio: *,,W odległości półtorej..."*, dalej tylko trzaski. Uchwyciłem jednak ostatnie słowa *,,... do Francji"*. Nie wiem o co chodzi. Półtorej godziny, czy co? Jak mi się uda to przetrzymać?

Bryan Allen ćwiczy na ergonometrze – urządzeniu mierzącym jego wydajność. Przez dwie godziny kolarz pracował z mocą 0,3 KM

6.26. To nie ma sensu. Będę musiał się wodować, albo zejść na hol. Wiry powietrza są coraz silniejsze, czasem opadam na 30 centymetrów nad wodę. Mój nadajnik radiowy psuje się – prawdopodobnie z powodu potu w kabinie. Z łodzi widzą, że jestem bliski wyczerpania. Podnoszę prawą rękę – to sygnał, aby przyczepiono hol. Natychmiast podpływają dwie łodzie. Kolega stoi na dziobie z wysięgnikiem w ręku gotów do zaczepienia. Aby operacja się udała muszę podnieść się wyżej. I nagle, gdy jestem na wysokości ponad 3 metry, wiry powietrzne słabną. Chyba będę mógł kontynuować lot. Krzyczę do załogi: *,,Jeszcze nie holujcie. Będę leciał dopóki wytrzymam"*. Ich twarze wyrażają zwątpienie. Jednak oddalają się posłusznie.

W miejscu oznaczonym krzyżykiem, o godzinie 6.26 z powodu zawirowań powietrznych, Allen prosił o holowanie. Wzbiwszy się wyżej stwierdził, że powietrze jest spokojniejsze i zdecydował się kontynuować lot

6.31. Kończy się woda do picia: planowaliśmy lot jedynie dwugodzinny. Wiem, że odwodnienie jest bardzo niebezpieczne. Przy przegrzaniu organizmu i utracie płynów ustrojowych wydajność energetyczna drastycznie spada. Mój odbiornik radiowy znów działa, ale baterie wysokościomierza już się wyczerpały. Zaczyna też źle funkcjonować wskaźnik szybkości. Widoczność coraz gorsza. Lecę absolutnie na wyczucie. Lecę tak jak potrafię.

6.40. W tej chwili powinienem być już u celu. Coś rzeczywiście majaczy w oddali. Może nareszcie ląd? Nie, to wielki tankowiec. Paul nadaje przez radio, że muszę zmienić kurs. Taki mamut może pozostawić w powietrzu wiry. (Już później po wylądowaniu dowiedziałem się, że brytyjskie i francuskie straże przybrzeżne zadbały o to, by specjalnie dla mnie zmienić kierunek ruchu na kanale). Ale oto fale znowu się podnoszą. Wysokościomierz wysiadł. Tylko łodzie eskortowe ostrzegają mnie przed niebezpieczeństwem. *,,30 centymentrów"!* – krzyczą koledzy przez radio, kiedy zbytnio zbliżam się do powierzchni wody. Przypominam sobie warunek otrzymania nagrody. Wysokość lotu nie może przekraczać 50 metrów. Uśmiecham się – z tym na pewno nie będzie problemów...

6.59. W końcu nadają: *,,Mamy przed sobą Francję. Jeszcze tylko 6 kilometrów."* Opadam z sił i zdaję sobie z tego sprawę. Zaczynam mówić już sam do siebie – *,,Nie poddawaj się, jesteś w stanie tego dokonać."* Nadzieja na przemian z desperację. Radio znowu krzyczy: *,,Albatrosie, twoja wysokość tylko 17 centymetrów! Słyszysz? Podnieś się! Szybko!"* Nagle czuję przeszywający ból w prawej nodze. Przerzucam ciężar ciała na lewą i ból stopniowo ustępuje. Natychmiast jednak pojawia się kurcz w lewym udzie. Wiem, że nie minie już do końca lotu.

7.29. Zdaje się, że to już francuskie wybrzeże mówią z łodzi, że tylko półtora kilometra do końca. W tej chwili ostrzega mnie jakiś instynkt. Zdążyłem zareagować na czas. Maszyna była przesterowana, znajdowałem się bardzo blisko powierzchni wody. Pomimo kurczów mięśni udaje mi się wznieść wyżej.

7.36. 400 metrów do brzegu. Widzę plażę. Zebrał się spory tłumek. Przede mną skały przybrzeżne. To one są powodem wirów powietrza. Rozglądam się, jakby wymanewrować w innym kierunku. Nie widzę jednak możliwości manewru. Teraz tylko 100 metrów. Ostrożnie! Czerpię z resztek sił; z rezerw, o których nigdy nie wiedziałem. Maszyna nagle schodzi z kursu, oddala się od plaży. Włączam urządzenia kontrolne i ostatkiem sił naprowadzam ją na właściwą drogę.

Czas na lądowanie. Przestaję pedałować i mój rower osiada na piasku.

7.40. Już po wszystkim! Prawie trzy godziny lotu. Pokonałem La Manche. Odległość wynosiła 36 km. Później dowiedziałem się jednak, że wiatry przeciwne i zmiany kursu wydłużyły lot. Był to ekwiwalent 56 km w powietrzu nieruchomym!

Na plaży zamieszanie. Wybijam dziurę w ścianie kabiny; wyciągają się do mnie ręce i uwalniają moje nogi z pedałów. Ku swemu zdziwieniu mogę chodzić. Podbiegają koledzy. Dostaję kwiaty i szampana. Zjawia się Paul. Oznajmia, że resztę dnia mam wolną. Myślę, że to dobry pomysł...

Tłumaczenie i opracowanie
BARBARA KOMUDA

Fot. **,,National Geographic"**

CO DALEJ ÓSMA KLASO

BUTY, BUTY Z DOBREJ SKÓRY

Mówi się, że zdrowo jest chodzić boso. Trudno jednak wyobrazić sobie chodzenie bez butów, szczególnie zimą. Przemysł skórzany, a zwłaszcza obuwniczy ma ogromne znaczenie. Praca w nim daje dużo satysfakcji: ,,Tyle ludzi chodzi w butach wyprodukowanych przez nasz zakład"! Praca nie jest też ciężka, gdyż produkcja jest w 80 procentach zmechanizowana.

Jakie zawody oferuje przemysł skórzano-obuwniczy? Można zostać szewcem, obuwnikiem (maszynowa obróbka, montaż i wykończenie obuwia), rymarzem (wykonywanie toreb, uprzęży, artykułów sportowych), kaletnikiem (wytwarzanie drobnej galanterii), kuśnierzem.

Największe ośrodki przemysłu skórzano-obuwniczego to: Chełmek, Radom i Nowy Targ. Tam też głównie znajdują się szkoły kształcące pracowników tego przemysłu. Jest ich kilkanaście. Nauka w zasadniczych szkołach zawodowych trwa 2 lata (tylko w zawodzie kuśnierza – 3). Przyjmowani są do nich absolwenci szkół podstawowych.

Oprócz tego, przy zakładach przemysłu skórzanego istnieją szkoły dokształcające dla pracujących. Przygotowują one obuwników i garbarzy. Nauka również trwa 2 lata. Do szkoły przyjmowani są kandydaci w wieku od 15 do 17 lat – w zawodzie obuwnika i od 16 do 17 – w zawodzie garbarza.

Technicy branży skórzanej uczą się w szkołach średnich dwóch typów – w technikach 3-letnich dla absolwentów zasadniczych szkół zawodowych i w technikach 4-lub 5-letnich, do których przyjmowana jest młodzież po szkole podstawowej. Jest tylko 5 techników dla absolwentów szkoły podstawowej, które kształcą się w specjalności ,,obuwnictwo przemysłowe". Technikum Przemysłu Skórzanego (Starogard Gdański, ul. T. Kościuszki 131), Technikum Chemiczne (Łódź, ul. Nowotki 46/48), Technikum Odzieżowe (Gubin, ul. Racławicka 1), Technikum Przemysłu Skórzanego (Radom, ul. Sniadeckich 5), Technikum Przemysłu Skórzanego (Nowy Targ, pl. J. Słowackiego 13). W dwóch ostatnich szkołach są również specjalności: **garbarstwo i futrzarstwo.**

W Technikum Włókienniczym (Łódź, ul. A. Naruszewicza 35) można zdobyć zawód – konfekcjonowanie wyrobów skórzanych.

(ap)

BYDGOSZCZ

NAZWA PLACÓWKI	NAZWA MIEJSC. NR KODU POCZT.	ULICA NR	TELEFON PORADNI
Woj.Poradnia Wych.-Zawod.	Bydgoszcz 85-084	H.Sawickiej 28	22-08-25
Miejska Por. Wych.-Zawod.	Bydgoszcz 85-219	Nakielska 11	342-46 342-47
Poradnia Wych.-Zawod.	Chojnice 89-600	Koszarowa 8a	713
Poradnia Wych.-Zawod.	Inowrocław 88-100	Narutowicza nr 53	38-35
Poradnia Wych.-Zawod.	Mogilno 88-300	Marchlewskiego nr 2	744
Poradnia Wych.-Zawod.	Nakło 89-100	Sądowa 3	–
Poradnia Wych.-Zawod.	Szubin 89-200	Winnica 79	328
Poradnia Wych.-Zawod.	Sępolno 89-400	Słowackiego 2	654
Poradnia Wych.-Zawod.	Swiecie n/W 86-100	Sądowa 5	226
Poradnia Wych.-Zawod.	Tuchola 89-500	Bojowników PPR nr 4	863
Poradnia Wych.-Zawod.	Znin 88-400	Kościuszki 27	114
Poradnia Wych.-Zawod.	Koronowo 86-010	Pomianowskiego nr 16	24-71

KONIN

NAZWA PLACÓWKI	NAZWA MIEJSC. NR KODU POCZT.	ULICA NR	TELEFON
Woj. Poradnia Wychow.-Zawod.	Konin 62-500	Kaliska 19	289-39
Poradnia Wychow.-Zawod.	–,,–	Kolejowa 6	236-73
Poradnia Wychow.-Zawod.	Koło 62-600	Mickiewicza nr 14	107-89
Poradnia Wychow.-Zawod.	Słupca 62-400	Poznańska nr 16	149 w.131
Poradnia Wychow.-Zawod.	Turek 62-700	Kościuszki 6	52-88

M/s ,,Piotrków Trybunalski"

W latach 1965–1970 stocznia w Warnie (Bułgaria) na podstawie dokumentacji polskiej, pod nadzorem Polskiego Rejestru Statków i przy dostawach znacznej części urządzeń z Polski, zbudowała dla PŻM 16 jednostek. Sześć pierwszych (były to masowce–drobnicowce) w roku 1970 armator przekazał Polskim Liniom Oceanicznym. Dziesięć masowców pływa pod banderą PŻM, są to: m/s ,,Piotrków Trybunalski", m/s ,,Chrzanów", m/s ,,Ciechanów", m/s ,,Jelcz II", m/s ,,Kutno II", m/s ,,Przemyśl", m/s Starachowice", m/s ,,Suwałki", m/s ,,Wadowice", m/s ,,Warna". Jednostki te eksploatowane są głównie w trampingu bliskiego i średniego zasięgu, w przewozie węgla, zboża, soli oraz innych ładunków masowych.

Długość całkowita m/s ,,Piotrków Trybunalski" wynosi – 95,93 m, szerokość – 13,75 m. Zanurzenie – 5,66 m. Pojemność – 2423 BRT. W jego trzech ładowniach mieści się 1112 ton rejestrowych węgla lub innych ładunków masowych, tyle, ile zabrałby pociąg złożony z 46 dużych wagonów do przewozu węgla. Nośność – 3615 DWT. Może rozwijać prędkość do 13 węzłów. Zasięg pływania 8000 mil morskich. Napęd stanowi jeden silnik spalinowy o mocy 2 250 KM. Załoga składa się z 28 osób.

Pomieszczenia mieszkalne, służbowe oraz ogólnego użytku, usytuowane są w części rufowej pod pokładem głównym oraz w nadbudówce rufowej. Część załogi mieszka w dwuosobowych kabinach.

Jednostki z tej serii – m/s ,,Jelcz II", m/s Warna" i m/s ,,Chrzanów", systematycznie wożą sól kuchenną do Nigerii. W drodze powrotnej zabierają mączkę rybną z baz – przetwórni ,,Transoceanu" (którego flota łowi na wodach równikowych). Są więc jednymi z najmniejszych statków polskiej floty handlowej przekraczającymi równik. Innym rekordzistą tej serii jest m/s ,,Suwałki" posiadający za sobą ponad 500 rejsów eksploatacyjnych. M/s ,,Piotrków Trybunalski" ma ich około 480.

Rys. **Marek Soroka**

24

KUPON KONKURSOWY

WYTNIJ, ZACHOWAJ

„Świat Młodych"

PŻM

Cena sekundy...

Fotoreportaż
WOJCIECHA
WRÓBLEWSKIEGO

Zdjęcia zostały wykonane dzięki uprzejmości personelu SZPITALA DZIECIĘCEGO NR 1 w Warszawie.

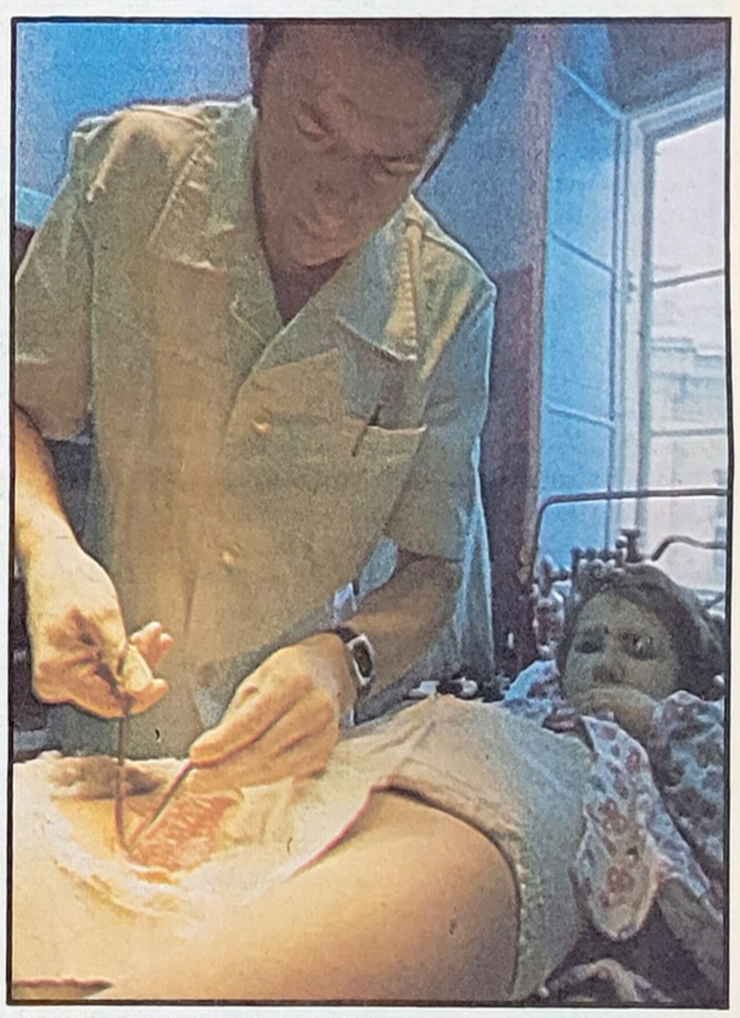

GWIAZDOZBIÓR

Różne role JEKATIERINY WASILEWEJ

Kinematografia radziecka jakby się specjalizowała w filmach o szkole, nigdzie bowiem nie ukazuje się ich tak wiele. Wystarczy wymienić tytuły tych, które nie tak dawno oglądaliśmy na naszych ekranach, aby się o tym przekonać. Oto np. „Szkolny walc" w reż. Pawła Lubimowa, „Ostatnia dwójka" Borysa Naszczekina, „Skok z dachu" Władimira Grigoriewa i ostatnio film Dinary Asanowej pt. „Klucz bez prawa przekazania", nagrodzony Specjalną Nagrodą Jury w kategorii filmów dla dzieci i młodzieży na MFF w Moskwie w roku 1977. Oczywiście chodzi tu o klucz do serc uczniów, który zdobyła młodziutka nauczycielka, budząc zazdrość nie tylko wśród szkolnych pedagogów, ale również i rodziców. Rolę rozgoryczonej matki gra w tym filmie Jekatierina Wasiliewa. Nie jest to rola główna, ale niepodobna jej nie zauważyć. Jest niezwykle wyrazista, jak to zazwyczaj bywa u tej aktorki. Matka zjawia się u dyrektora szkoły ze skargą na nauczycielkę, która zabrała jej serce córki. Jula nie chciała spędzić swoich 17 urodzin w domu z rodzicami. Poszła w tym dniu wbrew zgodzie rodziców na spotkanie z nauczycielką i kolegami z klasy. Matka przynosi do dyrektora magnetofon Juli z nagraniami rozmów prowadzonych na wieczorach u nauczycielki jako dowód jej demoralizującego wpływu na młodzież. Za sprawą zazdrosnej matki tworzy się wokół nauczycielki niesprawiedliwa niechęć, atmosfera zmowy, plotek i intryg. W złości i rozgoryczeniu matka nie rozumie, że tak postępując tworzy jeszcze większą przepaść między sobą i córką. Jest kobietą kierującą się emocjami, budzącą niechęć, może nawet złą i głupią, ale jednocześnie głęboko nieszczęśliwą. Pozostaje nam jej postać w pamięci, a dzieje się tak dzięki grze i indywidualności aktorskiej Wasiliewej.

Jekatierina Wasiliewa ukończyła Instytut Kinematografii już w roku 1967, a jeden z jej kolegów z Instytutu tak o niej pisze: *W Instytucie Kinematografii nie była pierwszą pięknością, ale zwracała na siebie uwagę, ujawniając ogromną wrażliwość. Sposobem bycia, zachowaniem, w każdej chwili potwierdzała swoje powołanie do zawodu aktorskiego. Każde zadanie na kursie okazywało się dla niej drobnostką, każde potrafiła wykonać z właściwą sobie oryginalnością. Cieszyła się uznaniem wszystkich, a na korytarzach, w stołówce, w całym Instytucie słyszało się szepty: „Katia Wasiliewa to ta!". Pamiętam jak w niewielkiej grupie jeździliśmy po północnym Kaukazie, reżyserzy, aktorzy (przyszli oczywiście) występowaliśmy, wyświetlaliśmy nasze studenckie filmy. Nasza romantyczna artystyczna wędrówka zakończyła się w Dagestanie. I kto by pomyślał, że właśnie tu będzie się rozgrywała akcja pierwszego filmu długometrażowego Katii pt. „Adam i Chewa", w którym kreowała główną rolę.*

Debiutowała na ekranie jeszcze w czasie studiów w epizodycznej roli w filmie „Na zawtraszniej ulice" (1965). Główną podwójną rolę królewny i żony szewca zagrała w zekranizowanej baśni rosyjskiej „Sołdat i carica" (1968). Stworzyła wiele charakterystycznych postaci komediowych i wyrazistych postaci epizodycznych. Oto niektóre z filmów z tą aktorką: „Dziennikarz" (1967), „Siemiejnoje sczastie", Temat na niewielkie opowiadanie" (1969), „Jegor Bułyczow" (1972), „O tiech kogo pomniu i lublu" (1973), „Pani do mnie pisała" (1976), „Brylanty dla dyktatury proletariatu" (1975). Zagrała również rolę nauczycielki VII klasy w innym szkolnym filmie Dinary Asanowej pt. „Nie bolit gołowa u djatła", była lotnikiem i jednocześnie damą w filmie pt. „Wozduchopławatiel", zagrała w filmie Aleksieja Germana „20 dni bez wojny".

Prawie wszystkie bohaterki Wasiliewej mają silne charaktery, są niezależne psychicznie. Zazwyczaj jest ona panią sytuacji i w każdej roli, choćby i epizodycznej, ujawnia sobie właściwy temperament. Gra równie często w teatrze jak w telewizji i kinie. Popularność zyskała jednak głównie dzięki pracy w filmie. Jest w pełni sił twórczych i zapewne jeszcze nieraz będziemy ją oglądać na naszych ekranach.

(bt)

DOM MODY świata młodych

Po prostu -BLUZKA

W epoce inwazji swetrów, sweterków, pulowerów, pulowerków i wszelkich innycn rzeczy swetropodobnych czyli z włóczki udzierganych, człowiek wręcz zapomina, że istnieje coś takiego jak... zwyczajna bluzka, zwyczajna bluzka uszyta z materiału. Tkanego, nie dzierganego.

To zapomnienie jest skądinąd oczywiste. Wszystko, co dziergane jest w użyciu super-wygodne.

Ciśnięte na półkę wyciąga się spod stosu innych ciuchów po tygodniu albo i po miesiącu i... można z miejsca na siebie założyć. Jak coś przypadkiem nie tak jest, to się pociągnie, wyciągnie, rozciągnie i – już wszystko gra. Szybko i niekłopotliwie.

Z bluzką z materiału taki numer nie przejdzie. O bluzkę trzeba dbać. Nawet ta uszyta z materiału nazywanego niemnącym wymaga chociażby przegładzenia żelazkiem, a zdarza się, że starannie wyprasowana i powieszona w warunkach nie najbardziej sprzyjających – np. w przeładowanej szafie – przed założeniem musi być uprasowana powtórnie. Bo inaczej wyglądać będzie po prostu niechlujnie. Bluzka lubi, żeby się z nią pieścić, żeby jej dogadzać – odpłaca się wówczas szykiem, z jakim żaden sweter nie jest w stanie konkurować, ale gdy ktoś o tych wymaganiach bluzki szczególnych zapomni – nie będzie miał z niej pożytku.

Więc trzeba się zdecydować. Kogo nie stać na takie poświęcenie – niech pozostanie przy rzeczach dzierganych, ale jeśli ktoś jest w stanie trochę wysiłku bluzce poświęcić – ma szansę od czasu do czasu przeistoczyć się w... damę. Bo coś z tego w bluzce, takiej niby zwyczajnej, jest!

Modne bluzki są luźne; wkładane raczej do środka, a jeśli noszone na wierzch, to tylko do spodni i bardzo sportowe w kroju; kołnierzyki bardzo malutkie, zamiast kołnierzyka może być wiązadło z dużą kokardą (fason niemal wieczorowy), albo stójka (to raczej przy tych noszonych na wierzch, do spodni); ramiona podkreślone; sporo karczków (maleńkich albo i całkiem sporych, fantazyjnych w kształcie), do których reszta bluzki jest przymarszczona; rękawy zakończone niezbyt szerokim mankietem.

I to by było tyle o rzeczy, która zwie się całkiem po prostu – bluzka.

RIUSZKA

IV TURNIEJ WARCABOWY

O puchar „Świata Młodych" i Głównej Kwatery ZHP

Prowadzi Romuald Frey

ZADANIE 5. Białe zaczynają i wygrywają w 10 posunięciu. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.

Ustawienie kamieni: Białe – 27, 28, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 38, 39, 40, 45, 47, 48, 50

Czarne: 2, 6, 7, 8, 9, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 23, 24, 25.

ZADANIE 6. Białe zaczynają i wygrywają. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 3 punkty. Ustawienie kamieni: Białe: 11, 15, 16, 17, 21, 24, 30, 33, 34, 38, 39, 41, 43, 45, 46, 48, 49, 50

Czarne – 4, 5, 6, 8, 9, 12, 13, 18, 19, 20, 22, 23, 25, 27, 28, 31, 32, 36, 37.

★ ★ ★

Termin nadsyłania rozwiązań – 10 dni licząc od daty ukazania się numeru. Należy je przesyłać pod adresem redakcji „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Na kopercie lub kartce pocztowej prosimy zaznaczyć „IV turniej warcabowy".

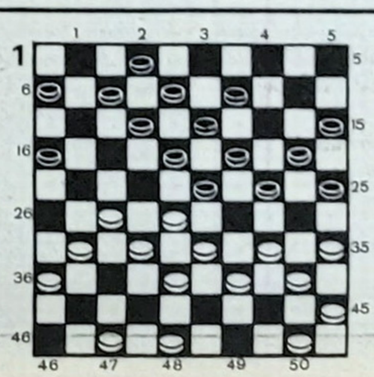

Podróże do źródeł cywilizacji

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

go, jak to, żeby go przestraszyło dwunastu uczernionych mężczyzn – rzekomo diabłów, które przyszły go porwać.

* * *

Państwowy Instytut Wydawniczy, który do serii „ceramowskiej" przywiązuje ogromną wagę, przede wszystkim ze względu na jej ważną rolę w edukacji narodowej, stara się o zachowanie jej niezmiernie wysokiego poziomu. A to, rzecz jasna, wymaga czasu i ogromnego nakładu pracy. Nic zatem dziwnego, że przygotowania edytorskie, poprzedzające ukazanie się książki na rynku trwają z reguły minimum trzy lata! Z chwilą, gdy natrafi się na ślad interesującej publikacji, czy to w zagranicznych katalogach, czy na targach, i uzyska zgodę autora bądź wydawnictwa na przedruk, do długiej, mrówczej pracy przystępują tłumacze i konsultanci – fachowcy z dziedziny religii, literatury, malarstwa, języka, architektury, archeologii itp. Później trzeba jeszcze tekst tłumaczenia porównać z oryginałem, a kiedy wszystkie wątpliwości zostaną rozwiązane, pozostaje jeszcze tylko... przygotować zdjęcia, mapy i tablice, opracować bibliografię i indeks nazwisk, całość zaopatrzyć w notę biograficzną i zgrabny wstęp... A potem już tylko do drukarni.

Przeciętnie pięć pozycji rocznie wymagających ogromnego wysiłku redaktorów i licznych współpracowników to wcale niemało. Z pewnością trwałoby to wszystko krócej, gdyby serią „ceramowską" udało się zainteresować nieco więcej autorów rodzimych. Bo jak dotąd, nie ma ich w spisie zbyt wielu...

TERESA MACISZEWSKA

WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI:

Mamy dla Was rewelacyjną wiadomość! Już wkrótce Państwowy Instytut Wydawniczy udostępni czytelnikom „ŚM" – jeszcze przed ukazaniem się w księgarniach – fragmenty sensacyjnej książki, napisanej przez polskich uczonych pod redakcją znanego fizyka – prof. A. K. Wróblewskiego pt. „Z powrotem na Ziemię". Znajdziecie w niej naukowe wyjaśnienia wielu zjawisk, wzbudzających ciągle jeszcze ogromne zainteresowanie. Będzie tam m. in. mowa o Trójkącie Bermudzkim i latających talerzach, tajemnicach budowy piramid i wizytach kosmicznych gości...

Tak jak zapowiedziałem, dziś jeszcze raz wracamy do problemu Niezidentyfikowanych Obiektów Latających w dwóch wypowiedziach – Artura Bieleckiego „UFO w... laboratorium" i Marka Wilka „Wiara to za mało". Z korespondencji pierwszej dowiadujemy się, iż UFO jest zwykłym zjawiskiem atmosferycznym powstającym w sposób naturalny. Co więcej, udało się je stworzyć sztucznie w warunkach laboratoryjnych. Zwolennicy latających spodków i zielonych ludzików nie będą tą informacją zachwyceni, ale na fakty nie ma rady.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

WIARA TO ZA MAŁO

W ostatnich latach przyzwyczailiśmy się, że coraz częściej agencje prasowe donoszą o pojawieniu się w różnych rejonach świata pojazdów pozaziemskiej cywilizacji. Problem UFO powstał w związku z trudnościami wyjaśnienia niektórych zjawisk świetlnych, które ukazywały się i ukazują w różnych okolicznościach. Wiele osób domaga się autentycznych dowodów, które byłyby niepodważalne i niezaprzeczalne. Na ten temat wśród astronomów, astrofizyków a nawet filozofów krążą sprzeczne hipotezy. Niektórzy uważają, że dowodem na istnienie UFO byłoby nawiązanie łączności z kosmitami, nawet jednostronnej i na odległość np. w drodze odebrania jakichś sygnałów od nich. Kiedy to nastąpi i czy w ogóle nastąpi trudno dziś powiedzieć. Ale od przyjęcia hipotezy o istnieniu pozaziemskich cywilizacji w kosmosie daleko do twierdzenia, że kosmici odwiedzają nas niemal codziennie. Biorąc pod uwagę olbrzymie odległości kosmiczne hipoteza o UFO zakłada, że:

– kosmici skonstruowali pojazdy lecące z prędkością zbliżoną do prędkości światła,

– rozwiązali problem przewożenia ogromnych ilości paliwa (?) do tych pojazdów,

– będąc istotami żywymi może bardzo różnymi od człowieka, lecz podobnie jak on zbudowanymi z materii organicznej (?) potrafią bez uszczerbku dla siebie przebywać przez czas nieokreślony w pojazdach poruszających się z taką prędkością.

Załóżmy, że kosmici mają pojazdy, w których swobodnie pokonują międzygwiezdne przestrzenie. Co mogłoby ich skłonić do tak częstych odwiedzin naszej Ziemi? Warto zauważyć, że cały nasz Układ Słoneczny to tylko jedna z dwustu miliardów (!) gwiazd w naszej Galaktyce. Nasza Galaktyka z kolei to jedna spośród miliardów innych – to nie więcej niż główka od szpilki w oceanie wszechświata. Jej średnica wynosi ok. 90 tys. lat świetlnych, najdalsza zaś rozpoznana galaktyka jest od nas odległa o ponad 3 mld lat świetlnych, a granice możliwej obecnie do zaobserwowania części wszechświata przebiegają w odległości 17 a może nawet 30 mld lat świetlnych od obserwatora ziemskiego (1 rok świetlny = 9,5 tys. mld km). Aby dostrzec nasz glob ziemski z odległości miliardów, milionów czy tysięcy lat świetlnych, trzeba rozporządzać niewiarygodnie mocnymi i precyzyjnymi przyrządami. Dodajmy, że astronomowie ziemscy nie zdołali jeszcze ustalić egzystencji planet nawet przy najbliższych nam gwiazdach.

Nasuwa się następne pytanie: – Czy Ziemia jest punktem docelowym kosmicznych przybyszów? Jeśli kosmici zbudowali pojazdy zdolne do pokonywania międzygwiezdnych przestrzeni, to uczynili to w jakimś konkretnym celu. Np. chęć zaspokojenia jakichś potrzeb materialnych, dążenie do podbojów lub po prostu zwykła ciekawość. Ziemia na pewno nie jest obiektem zbyt interesującym. Obserwowana z odległości nieokreślonej liczby lat świetlnych planeta nasza niczym nie wyróżnia się spośród miliardów innych planet we wszechświecie. Zatem Ziemia nie może być dla UFO krańcowym przystankiem, gdzie kończą swą podróż. Jeśli przybywają z tak daleka, to dlaczego nie nawiązują bliższych kontaktów z ludźmi (wykluczając wszelkie zmyślone spotkania). Przybyć z tak daleka i nie zapoznać się bliżej to do niczego niepodobne. Zwolennicy UFO będą rozczarowani propozycją uznania obcych statków kosmicznych, przybywających z „Nieznanego" na Ziemię, za fikcję i twór fantazji. Jedną z motywacji chętnego przyjmowania hipotezy o UFO jest to, że ludzie dążą do czegoś nowego, nieprzeciętnego, odbiegającego od szablonu, codzienności. Wchłaniają to co nowe i niezwykłe jeśli tylko nie zagraża ich interesom. UFO jest właśnie tym czymś niespotykanym, jakże różnym od tego z czym stykają się na Ziemi. Filozof, **Wiliam Barret** mówi: *„Wiara wielu ludzi w to, że przybysze z dalekiego kosmosu z zamiłowaniem nas odwiedzają jest przejawem dążenia tych ludzi do „otwarcia świata". Dążenie to nie powinno jednak prowadzić do kolizji z elementarnymi wymogami dowodu naukowego".*

Marek Wilk
ul. Zawadzkiego 5/35
05-900 Sochaczew

KWAZAR I GALAKTYKA

Kwazary – tajemnicze ciała niebieskie zostały odkryte w 1962 roku przez Amerykanów Hoyle'a i Fowlera. Wysyłają one w kosmos ogromną ilość energii w postaci fal radiowych. Co jest źródłem energii kwazarów? Do dziś pozostaje to zagadką i długo trzeba będzie czekać na jej wyjaśnienie. Najprawdopodobniejsza hipoteza twierdzi, że ogromna emisja promieniowania jest skutkiem kolapsu grawitacyjnego, czyli „zapadania się" kwazara pod wpływem jego pola grawitacyjnego. Kolaps grawitacyjny doprowadziłby do zmiany kwazara w tzw. „czarną dziurę", o której w „Tomiku" była już niejednokrotnie mowa.

Inna, bardziej fantastyczna hipoteza mówi o tym, że kwazary są obszarami, w których nasz wszechświat styka się z antywszechświatem. Wynikiem tego jest gigantyczny proces anihilacji, podczas którego powstają ogromne ilości energii.

Najbliższy kwazar nazwany 3C 273 znajduje się w odległości 1,63 mld lat świetlnych od Słońca. Grupa astronomów amerykańskich z Arizony obserwując kwazar odległy o ok. 10 mld lat świetlnych od Słońca natknęła się na ciekawe zjawisko. Otóż kwazar ten jest „zasłonięty" galaktyką znajdującą się w odległości 5 mld lat świetlnych od niego. Pole grawitacyjne galaktyki zakrzywia nieco przestrzeń, co doprowadziło do powstania tzw. soczewki grawitacyjnej. Promieniowanie kwazara (rentgenowskie, radiowe, świetlne) przechodząc przez tę soczewkę ulega zakrzywieniu – tak jak promienie świetlne przechodzące przez zwykłą soczewkę. Natknięto się więc na nowe zjawisko – gigantyczną soczewkę grawitacyjną.

Ostatnio to zjawisko uczeni polscy z Centrum Astronomicznego Polskiej Akademii Nauk pod kierownictwem prof. B. Paczyńskiego starają się wykorzystać do badań kwazarów i galaktyki-soczewki.

Krzysztof Tropiło
ul. Zamkowa 4/9
72-200 Nowogard

UFO W... LABORATORIUM

UFO – niezidentyfikowane obiekty latające. Pobudzają one wyobraźnię ludzi. Uznawane są za statki kosmiczne przybyłe z innych planet, a są być może tylko odmianą pyłu lub wody znajdującej się w stanie silnego rozdrobnienia. Potwierdzili to drogą eksperymentu naukowcy z Instytutu Oceanologii Akademii Nauk ZSRR. W jednym z laboratoriów instytutu udało się otrzymać modelowe zjawisko UFO czyli latających spodków. Już od dawna sądzono, że zjawiska widziane w postaci poruszających się dysków powstają w atmosferze podczas ruchów mas powietrza, jeśli znajdują się w nich cząstki pyłów lub wody. Ruchy te mogą być następstwem odmienności lub różnorodnej gęstości warstw atmosfery. Specjaliści z Instytutu Oceanologii wywołali w laboratorium sztuczne warunki potrzebne do powstawania i istnienia w określonym czasie tajemniczych „pojazdów".

Proces powstawania zjawisk przyrody w postaci poruszających się dysków, zdaniem specjalistów może dokonywać się na różnej wysokości zarówno w niższych warstwach atmosfery jak i na wysokościach kilkudziesięciu kilometrów pod powierzchnią Ziemi. Widziane latające talerze powstają m. in. na granicy warstw atmosferycznych, po bezwietrznej stronie i na nawietrznej stronie niewysokich szczytów górskich. To, że w ostatnim czasie wzrosła znacznie częstotliwość przypadków zauważania tych zjawisk atmosferycznych, uczeni ZSRR wiążą z wzrastającym zanieczyszczeniem środowiska naturalnego.

Artur Bielecki
Os. Bulwary 10/11
21-300 Radzyń Podl.
Członek TMK „Orbita"

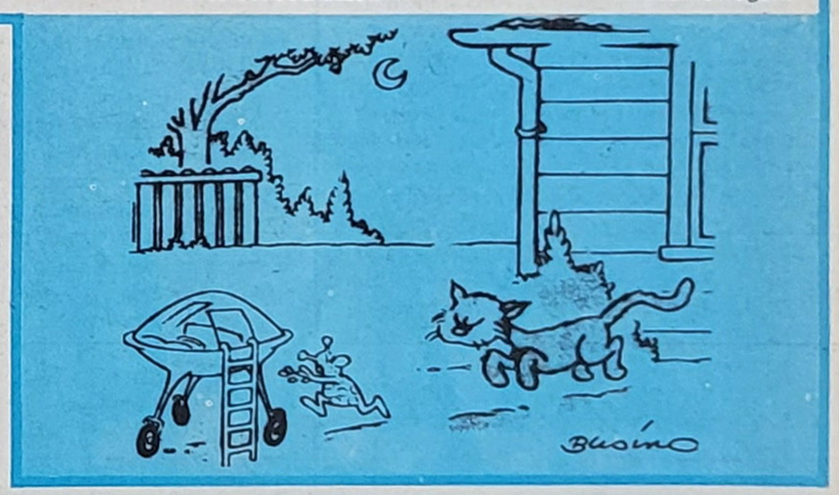

– Ale wtedy...

– I wtedy mojej winy nie było. Lekarz przecież przychodził, ani chybi on coś komuś powiedział i doszło, gdzie nie trzeba.

– Jak Natalia może używać takich sformułowań? Natalia wie, co się mogło stać? Cud boży, że to się tylko tak skończyło, a Natalia mówi beztrosko, że doszło, gdzie nie trzeba! Natalia chyba się nie spodziewa, że jej by darowano!

– Przecież wiem, co by ze mną było. Mam oczy w głowie i uszy do słyszenia, i rozum własny także mam.

Maleńka pani załamuje dłonie, drobne i kruche, palce bieleją w półmroku, coś podobnego Róża widziała w kinie, tym gestem na ekranie wyrażano rozpacz i niepewność.

– No, to skąd ona wie? Na litość boską, skąd ona wie?! No, skąd?!

Nagle zabiera głos starszy pan.

– Moja kochana, opanuj się. Może to jakiś przypadek lub zbieg okoliczności. – Pociera palcami czoło i dodaje: – nerwy należy trzymać na wodzy. – Tu najwidoczniej przypomina sobie najważniejsze, podnosi głos, prawie krzyczy: – to nie Basia, nie Basia! Przyobiecałaś o tym pamiętać. To nie Basia, powtarzam, nie Basia!

Zmalała twarz pani w szalu, rozjaśniła się niepewnym półuśmiechem, jeszcze nie dowierza, upewnia się:

– Nie Basia?

– Nie. To Róża, córka Basi.

Białe palce rozplatają się, ramiona kurczą pod szalem, krucha pani chichocze rozradowana:

– Jak dobrze, jak dobrze.

Widocznie wąsaty pan nie ma się czym cieszyć, marszczy brwi:

– Kochanie, przyobiecałaś być rozsądna. Już nie pamiętasz o tym?

Zgarbiona Natalia po prostu chyba uciekła, bo zniknęła tak, jakby się rozpłynęła w powietrzu. Róża mogłaby przysięgnąć, że jeszcze przed sekundą widziała połamaną postać przed błyszczącą witryną kredensu. Nim zdążyła spojrzeć po raz drugi, Natalia przepadła, rozpłynęła się w zielonkawym półmroku.

Nie zastanawiała się jednak nad niezwykłością tego zjawiska, rozpaczliwie usiłowała zrozumieć scenę, której była nie tylko świadkiem, ale przypuszczalnie i powodem. Ktoś coś wiedział, a przez to wiedzenie miało się stać coś złego, lub już się stało, i tej wiedzy winna była przygarbiona Natalia przez swoje miękkie serce, może zresztą nie Natalia, tylko lekarz. W ogóle nie sposób pojąć o co chodzi, ale strach kruchej pani był prawdziwy i najprawdziwsze były tłumaczenia zreumatyzowanej Natalii, rzeczywiście wyjaśniającej z przejęciem, że nie popełniła tego, co jej zarzucano.

Oni chyba zapomnieli o istnieniu Róży, pochłonięci własnymi sprawami. Nie, wąsaty pan przypomniał sobie jednak, że ona istnieje.

– Przepraszamy cię, Różyczko. Pewno jesteś zdumiona, to rzeczywiście tak jakoś wypadło... Musisz nam wybaczyć.

Nie wytłumaczył o co w tym wszystkim chodziło, ale to, że przeprosił, i to, że przypomniał sobie o istnieniu gościa, pozwoliło Róży dojść do siebie. Nie będzie się przejmowała tym, co niepojęte. Jakoś wytrzyma tutaj parę dni, potem poda mniej lub bardziej przekonujący pretekst konieczności wyjazdu – chorobę, egzamin, przyjazd cioci z Australii – by z westchnieniem ulgi wsiąść do pociągu. Mama, rzecz jasna, będzie wściekła; podkreślała z naciskiem, że liczy na godne i rozsądne zachowanie Róży, ale czy można zachować się godnie i rozsądnie w takich warunkach?

– Róża odsuwa kompot.

– Może pójdę do ogrodu. – Jest to zupełnie sensowna propozycja, wyjdzie, oni dojdą między sobą do porozumienia bez niedogodnego świadka, a pozostawiona sama sobie Róża, pod cieniem starych drzew, obmyśli plan wycofania się – z przepisaną przez mamę godnością i rozsądkiem – z tej całej chryi.

– Bardzo mi przykro, moje dziecko, ale nie wyjdziesz. W każdym razie dzisiaj nie. Zechciej mieć wzgląd na moją żonę i jej nerwy.

Starszy pan wyjaśnia to łagodnie, chyba się nawet porozumiewawczo uśmiecha do Róży, może to znaczyć „nic się nie przejmuj", a może znaczyć coś zupełnie innego.

– Widzisz, kiedy ona sobie przypomina, popada w stan... trudno mi to wytłumaczyć, ale wtedy nie wolno jej się sprzeciwiać, bo ją to rozdrażnia. I dlatego prosiłbym bardzo, żebyś zechciała się udać do swego pokoju.

Przeznaczony Róży pokój jest zupełnie inny, niż można się było spodziewać, biały, nieduży, pełen światła. Wyglądało na to, że zapakują ją do jakiejś ciemnej nory albo zamkną w tamtym koszmarnym pokoju z wielkookim portretem na ścianie.

– Podoba ci się tutaj?

– Bardzo mi się podoba.

Cdn.

Jesli chcesz zabawić się po leksjach z paczką swoich przyjaciół, ze swoim zastępem – masz do dyspozycji kolejny wtorkowy worek atrakcji naszej redakcyjnej papugi. Psikusy, zabawy, sztuczki – starczy tego na cały wieczór; do dzieła!

Popraw swą psychiczną kondycję! DLA SAMOTNYCH I CZUJĄCYCH WIOSNĘ: BIAŁE I CZARNE

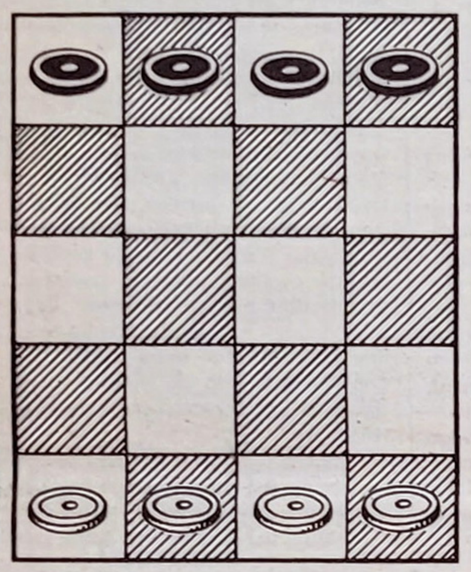

W tę grę zagraj sam ze sobą wtedy, gdy cię coś gnębi, jesteś samotny lub czujesz nadciągającą wiosnę. Pozwoli ci ona choćby na kilka minut zapomnieć o codziennych troskach – jest dobrym relaksem psychicznym.

Na tej szachownicy (najlepiej powiększ ją na papierze) stoi 8 pionów – 4 białe i 4 czarne. Zadanie: zamienić je miejscami przy jak najmniejszej ilości ruchów, ale z zachowaniem następujących reguł. Przesuwać piony można o dowolną ilość pól, ale tylko na ukos. Zaczynasz białym, potem przesuwasz czarny, znów biały itd. Na każdej z 12 linii ukośnych szachownicy mogą znajdować się jednocześnie piony tylko jednego koloru. To wszystko; a jeśli niepowodzenie w grze z samym sobą popsuje ci humor do reszty, zamieszczone na tej stronie jedno z możliwych rozwiązań pomoże ci go odzyskać.

Odgrzewamy zabawę naszych dziadków:

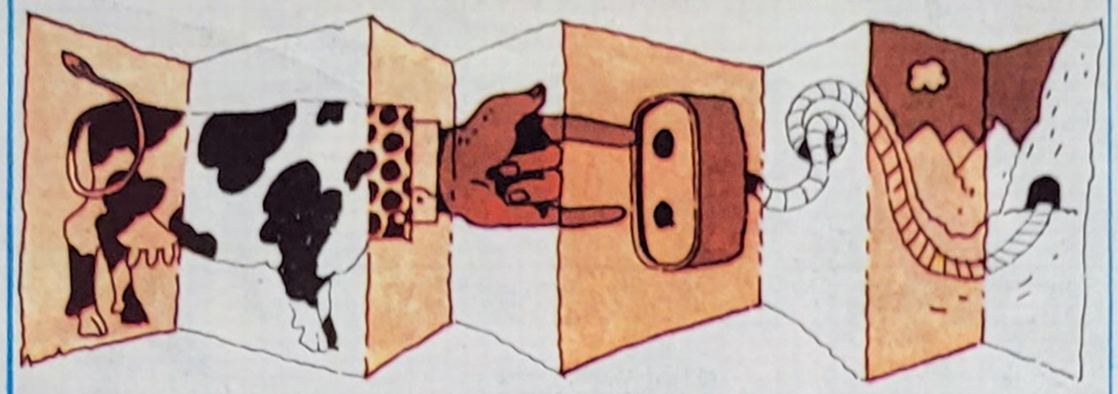

NARYSUJ CIĄG DALSZY!

Tak się bawili już nasi dziadkowie (a może nawet pradziadkowie!): brano długi pasek papieru i składano go w harmonijkę. Na pierwszej kratce pierwszy z grających rysował tak, by inni tego nie widzieli, jakiś rysunek. Ale na brzegu kartki po złożeniu i ukryciu rysunku widoczne były jego drobne fragmenty, przeniesienia na następną kartkę. Harmonijkę podawano złożoną następnemu z grających tak, by nie widział on narysowanego rysunku, a tylko jego niewiele znaczące przeniesienia. Kolejny grający musiał na następnej kratce narysować swój rysunek, będący jakby dokończeniem tych przeniesień. On jednak znów przenosił jakieś kilka linijek na następną kartkę harmonijki, podawał następnemu z grających itd. Wychodziło zawsze coś do śmiechu, tak jak na rysunku, który uzupełnialiśmy na próbę w redakcji. Można, podając kartkę następnemu, krótko scharakteryzować – co się narysowało, ale raczej tak, by nie powiedzieć za wiele. Spróbujcie, nasi dziadkowie też umieli się bawić!

Rozwiązanie „BIAŁE I CZARNE"

Ponumerowaliśmy kolejne pola szachownicy (patrz rys.).

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16
17	18	19	20

Oto jedno z możliwych rozwiązań: 18–15, 3–6, 17–8, 4–13, 19–14, 2–7, 15–5, 6–16, 8–3, 13–18, 14–9, 7–12, 5–10, 16–11, 9–20–10, 1–11, 3–9, 18–19, 12–2, 10–4, 11–17, 12, 10–13, 11–8, 19–16, 2–5, 16–1, 5–20, 9–6, 12–15, 13–7, 8–14, 6–3, 15–18, 7–2, 14–19.

Co widać po drugiej stronie zwierciadła?

LUSTRO NIE KŁAMIE!

To jest zabawa na cały wieczór dla paczki przyjaciół lub średniej rodziny. Potrzebne lustro, pare kawałków papieru, kredki lub mazaki. Połóż przed lustrem papier i zasłaniając go np. gazetą – jak na rysunku – a patrząc tylko na odbicie w lustrze, spróbuj narysować szybko i bezbłędnie kwadrat z obu przekątnymi. Rysując już trzecią kreskę popełnisz błąd! Jeszcze bardziej komiczne sytuacje wynikną przy rysowaniu w lustrze skomplikowanych figur lub przy pisaniu, które staje się przeważnie kompletną plątaniną linii. Inny wariant zabawy: na kawałku papieru trzymanym na czole napisz swoje imię przeglądając się w lustrze. Wyszło! Ale teraz zdejmij papier z czoła i zobacz, co tam jest napisane... W tej „zabawie na cały wieczór" jest wielkie pole do fantazjowania! Powodzenia i dobrej zabawy!

Magiczna tajemnica!

DIABŁY W KIELISZKU?

W średniowieczu przeprowadzano zażarte dysputy na temat – ilu diabłów mieści się na czubku szpilki. Ty dziś pokażesz inną diabelską sztuczkę: udowodnisz, jak dużo szpilek mieści się w kieliszku pełnym wody. Nalej jej do kieliszka po brzegi i postaw kieliszek na stole. Teraz spytaj twoich widzów, ile tu się jeszcze zmieści szpilek, bez wylania się wody. No, dwie, trzy – zabrzmi odpowiedź. Zacznij wrzucać do kieliszka zwykłe szpilki krawieckie – ostrożnie, ostrzem do dołu, nie falując powierzchni, tak jak wskazuje rysunek. Wrzucisz dziesięć szpilek, a poziom wody ani drgnie! Nie będziemy cię dłużej męczyć – jeśli ostrożnie przeprowadzisz całą operację, w kieliszku pełnym wody możesz jeszcze zmieścić... kilkaset szpilek! To nie błąd drukarski: kilkaset. Diabłów nie ma w kieliszku, ale co za magiczna siła zapobiega wylaniu się wody i pozwala zmieścić tam aż tyle żelastwa!?

MOZAIKA

Czy potrafisz narysować podobną?

Duński malarz Maurits C. Escher wykonał wiele takich rysunków, jak ten przedstawiający starożytnych jeźdźców na koniach. Idealnie jednakowi, zarówno ci jadący w lewo, jak i ci jadący w prawo. Nie ma w rysunku miejsc pustych, niepotrzebnych dziur. Fragmenty konturów figur prawych stanowią idealne fragmenty figur lewych – takich samych. Czy potrafisz narysować podobną mozaikę figurową, chociażby mniej skomplikowaną?

ŚWIAT MŁODYCH
MIESIĘCZNIK A GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:
Red. naczelny 21-16-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 1223/G

G-43

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Pierwsza relacja z zimowej wyprawy polskich himalaistów na najwyższą górę świata. Fotografie tych, którzy tam dotarli
- Tajemnice oceanicznej głębi
- Zapiski z trenerskiego dziennika

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

5

Te opowieści kończyły się równie nieoczekiwanie, jak zaczynały, pan z protezą milkł, laska przestawała kreślić splątane linie, próżno było prosić, żeby dokończył historię urwaną w najciekawszym miejscu, wstawał i przerzucając ciężar ciała z jednej strony na drugą odchodził, jakby chciał uciec od echa swoich własnych opowieści.

Poza panią od Modesta i panem z protezą zdarzały się inne starsze osoby, z którymi Róża rozmawiała, a były to zupełnie zwyczajne pogaduszki. O tym, czy ma rodzeństwo, czy lubi swoją szkołę, czy zastanawiała się już nad wyborem zawodu, i o tym, że nie trzeba się przejmować piegami, bo dodają wdzięku, i o tym, że teraz dziewczynki noszą spodnie, a dawniej nosiły sukienki, i że dziewczynka w sukience wygląda o wiele ładniej, niż w wypchanych kolanach i spłowiałych dżinsach. Nie były to zbyt ciekawe rozmowy, ale były przynajmniej normalne, takie, jakich się należało spodziewać. A ci tutaj jakby się zmówili, że nie zadadzą żadnego zwyczajnego pytania. Przecież Róża nie zacznie im nie pytana opowiadać, jakie miała stopnie i nie zakomunikuje, że ostatnio pokłóciła się z Violettą na pływalni. Violetta zgubiła jej czepek i jeszcze wmawiała, że to Róża sama go gdzieś zarzuciła, bo jest nieporządna i rozsiewa po kątach swoje rzeczy.

Nie kończąc kompotu, Róża odzywa się w przestrzeń, właściwie do nikogo, tylko po to, żeby zacząć rozmowę:

– Andrzej przełożył jeden egzamin.

Ponieważ robią wrażenie niesłyszących, powtarza po raz drugi, że Andrzej przełożył egzamin, powtarza wolno, głośno i wyraźnie, robi przerwy między słowami, i dlatego to krótkie zdanie brzmi jakoś dziwnie, jakby miało znaczyć zupełnie co innego. Kobieta w szalu porusza się niespokojnie i odwraca twarz ku drzwiom.

– Co powiedziałaś, moje dziecko?

Więc Róża powtarza jeszcze wolniej, głośniej i wyraźniej, że Andrzej przełożył egzamin, ma ochotę dodać, że mama zmartwiła się tą decyzją Andrzeja. ale nie dodaje. Oni jakby nie mieli pojęcia, kto to jest Andrzej, spoglądają na siebie z ukosa, chyba chcieliby się porozumieć, ale krępuje ich obecność Róży. Zgarbiona Natalia porusza niemo wargami, to wygląda tak, jakby się modliła, wąsy siwego pana stroszą się wojowniczo.

– Ile razy mamy powtarzać Natalii, że ona ma być jak najdalej od tego wszystkiego?! – wybucha nagle bladolica pani spowita szalem. – Jak Natalia ma sumienie mieszać to dziecko w takie sprawy?! Czy nie prosiłam o zupełną dyskrecję? Czy nie zaznaczyłam, że jej nie wolno w nic wtajemniczać?! Chyba dla niej wystarczy tego, co jest?!

Pod ulewą gniewnych wyrzutów zgarbiona Natalia kurczy się jeszcze bardziej.

– To nie ja, proszę pani, przysięgam, że to nie ja – szepcze wyciągając przed siebie ręce, jakby się osłaniała przed gniewem bladolicej. – Ja sama wiem, że ją trzeba trzymać z daleka. Pewnie posłyszała i powtarza, jak to dziecko.

– Posłyszała? Niech się Natalka zastanowi! Jak miała usłyszeć tam, u siebie? Chyba że Natalia znowu pozwoliła jej wyjść. To dobre serce Natalii zgubi nas wszystkich. Czy Natalia nie rozumie najprostszych rzeczy?

– Co też pani! Już z miesiąc nie ruszyła się stamtąd ani krokiem.

– Wtedy Natalia twierdziła tak samo.

– Mogę przysięgać na różaniec, jak mi pani nie chce wierzyć. Nie ruszyła się, żebym tutaj trupem na miejscu padła, jeżeli kłamię.

Dokończenie na str. 7